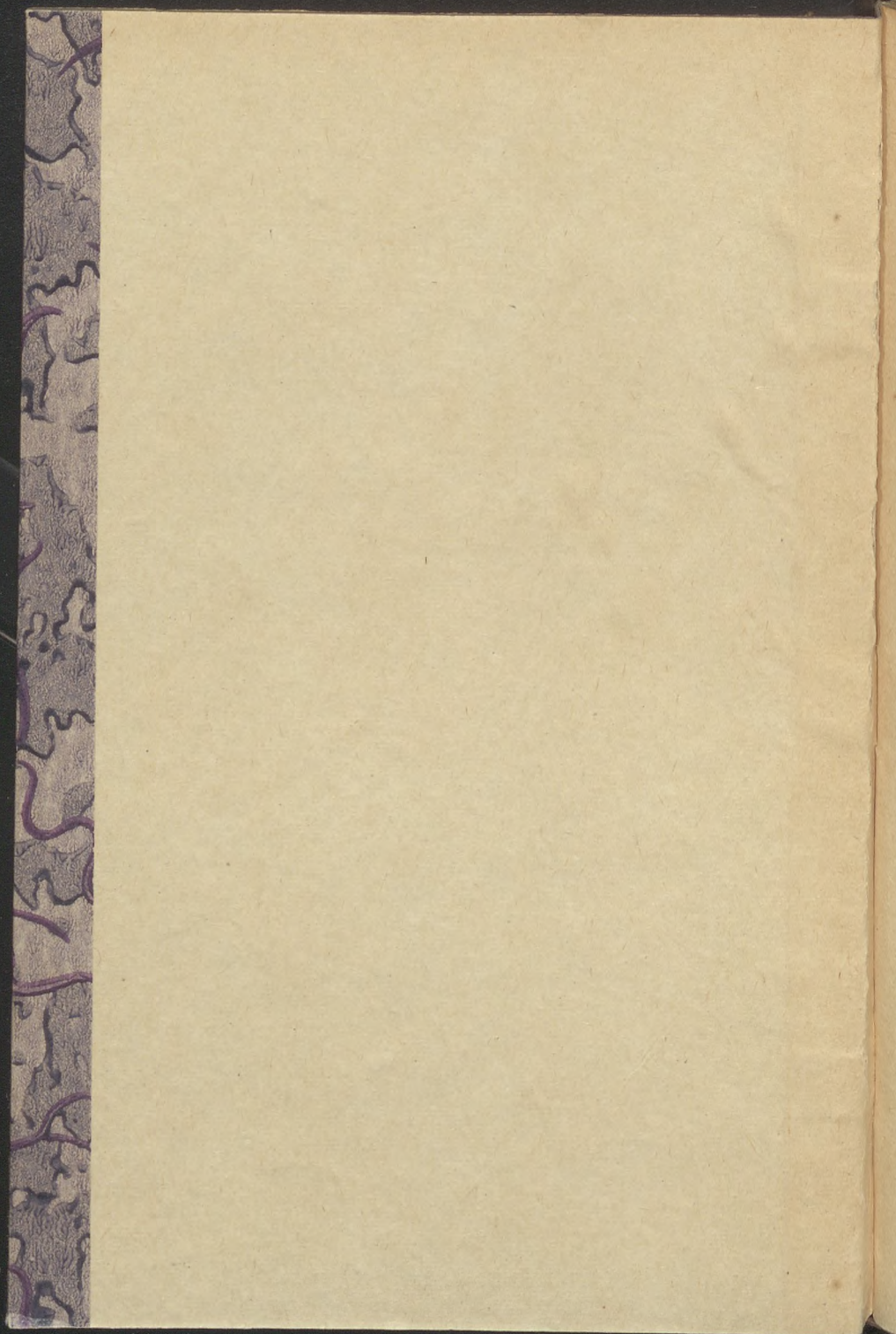
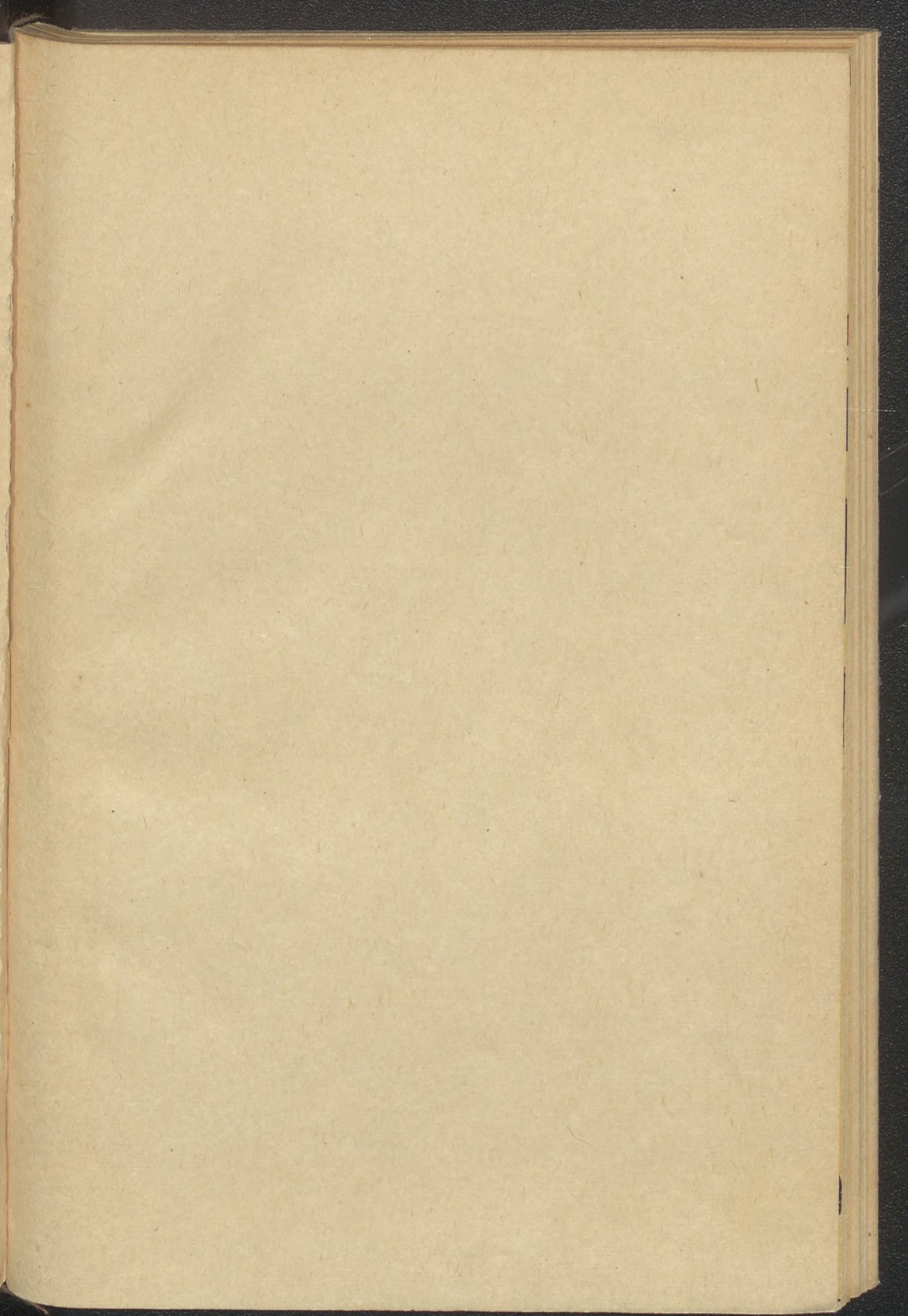
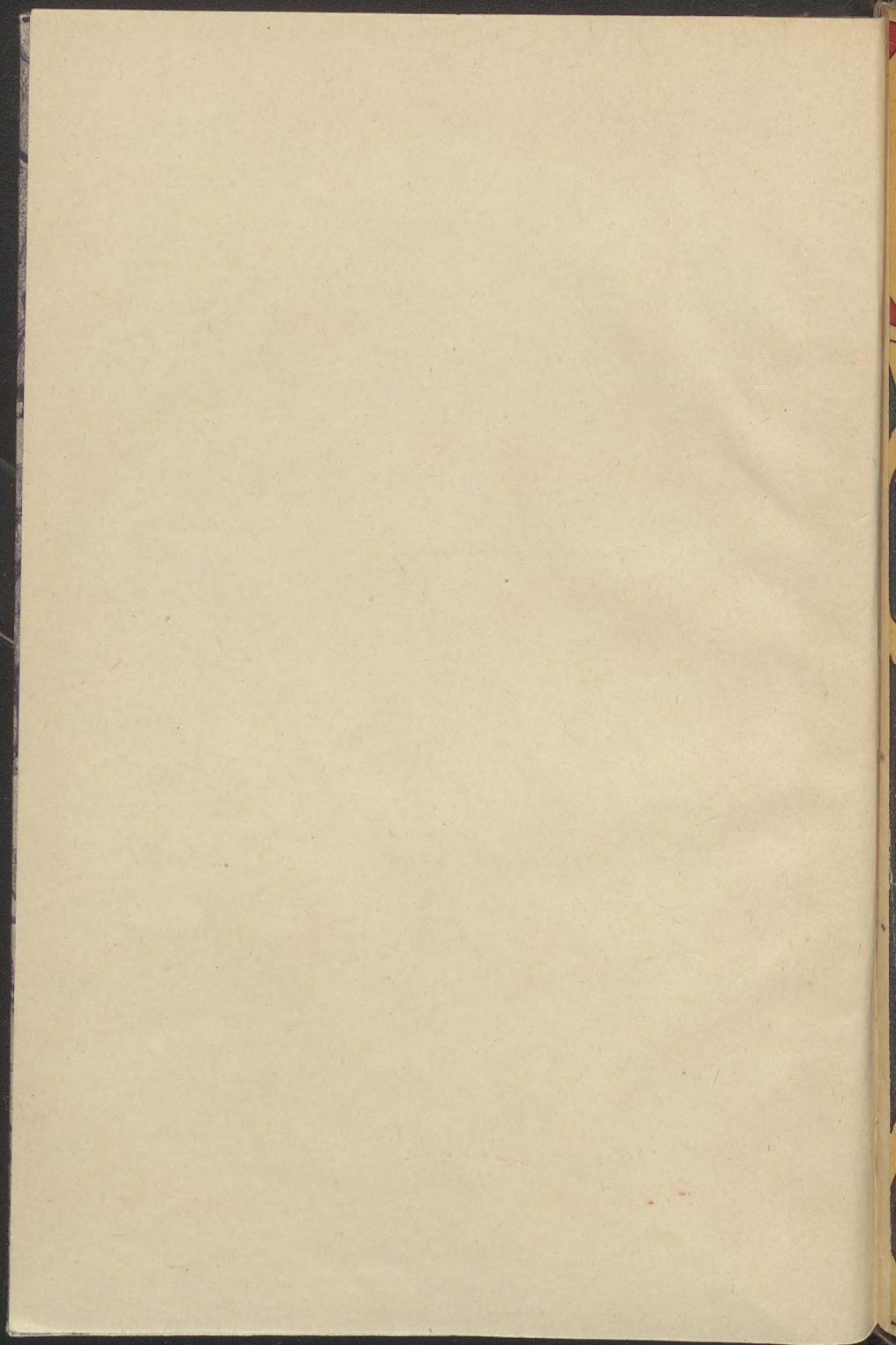


403069









11.408.069

SZLACHTNOŚĆ SERGA



WARSZAWA 1913.

Wydawnictwo „KSIĘGARNI POPULARNEJ“ Ś-to Krzyska № 42.

Cena 30 k.—50 cent.

KOMISARJAT RZĄDU
m. st. WARSZAWY

Egzemplarz obowiązkowy

Nakład 1000 egz.

dnia 2/5 1931

(4913) [Archiw. w 1597]

Jadwiga
J. BOHUSZEWICZOWA.

Szlachetność Serca

POWIĄSTKA



*Un. Wyl. dr 1931
nr 6179*

WARSZAWA (1913) [*przedr. w 1931*]

Nakładem „Księgarni Popularnej“

*[Rocznik psychologiczny] (2 dzienniczku
miesiąca Wisusa, s. 31, Mała Biblioteczka
Nr 20)*



II,408,069

Printed in Poland

Druk. Sz. Sikora

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005413200

Cicho i pusto było w osadzie X., leżącej nad samą granicą pruską. Oprócz turkotu maszyn fabrycznych nie było tam słycać żadnych innych głośów, choć była to pora popołudniowa i lato w całej pełni, zwykle o tej porze wszystkie dzieci w osadzie zbierały się na wspólny spacer i zabawę.

Ale bo dzisiaj zdarzyło się coś, co wszystkie małe główki wprawiło w stan zdumienia i pobudziło je do myślenia nad zagadką, jaka się dziś ich dziecinny umysłom przedstawiła.

Jeszcze rano idąc do szkoły, ujrzały trzy wielkie wozy, podobne do małych, pomalowanych domków na kołach, ciągnione sześcioma parami chudych i wysokich koni.

Dzieci widziały, że domki owe skręcały na wielki plac, znajdujący się na środku osady, zaraz więc po ukończeniu lekcji, które tego dnia wydały im się nieskończenie długie, pobiegły na plac, aby przekonać się, co się z owymi domkami zrobiło.

Jakież było ich zdziwienie, kiedy na środku placu ujrzały wielki namiot płócienny z zawieszoną pstrą zasłoną zamiast drzwi, nad którą widniał napis z wielkich ułożony liter „Cyrk Bernhardta“ Dokoła namiotu kręciły się dziwacznie poubierani ludzie, a z wewnątrz dochodził szum młotków, szczekanie psów i gwar ludzkich głosów.

Owe zielone domki stały teraz na uboczu, a z małego komina nad jednym z nich wydobywał się cienki słup dymu, świadczący, że tam coś palono i gotowano.

Zaciekawione dzieci obchodziły namiot dookoła, starając się zajrzeć do wnętrza, ale płótno przylegało szczelnie, a zasłona na drzwiach spuszczała się do samej ziemi.

Nagle zasłona rozsunęła się cokolwiek i przed namiot wyszło dwoje dzieci, dwunastoletni może chłopiec i cokolwiek młodsza od niego dziewczynka.

Chłopiec miał ciemną cerę, wielkie smutne oczy i czarne wijące się włosy. Ubrany był w żółte sandały, związane ponsową wstążką, aksamitne

krótkie do kolan spodeńki i szafirową również aksamitną kurtkę, obszytą złotym galonem. Na to miał narzucony płaszcz brązowy z kapiszonem, wybitym czerwoną materją, a na głowie kapelusz z piórkami.

Dziewczynka ubrana była jeszcze strojnziej, w różową atlasową sukienkę, podpinaną gdzieś gdzie zielonemi wstążkami i jakimiś kwiatami, które również zdobiły jej złote loki.

Dzieci ze wzrastającym zdumieniem przyglądały się tej małej parze. Jeszcze nigdy nie widziały takich stojów i nie wyobrażały sobie, aby można było tak się na codzień ubierać.

Na widok ciekawej gromadki strojna dziewczynka cofnęła się za zasłonę, z za której wyszedł po chwili wysoki, gbuby człowiek o nieprzyjemnej ostrej i surowej twarzy, zwróciwszy się do dzieci rzekł łamanem językiem.

— Niema czego się gromadzić tutaj i przeskadzać. Iść lepiej do domu, poprosić ojciec i matka o pieniądze i przyjść tutaj wieczorem, na przedstawienie, wtedy będzie ładnie.

Na ten rozkaz przestraszone dzieci rozbiegły się do domów i jakby na umówiony znak zamiast jak zwykle bawić się i hałasować, zabrały się do

odrobienia lekcji, aby mieć wieczór wolny i mógł zajrzeć do cyrku.

Rzeczywiście przed samym wieczorem załona u wejścia podniosła się w górę i stanął przyniej ów niemily człowiek, gotowy do przyjmowania pieniędzy i wpuszczania widzów do środka. A przybyło ich sporo. Dzieci umiały uprosić i zaciekawić ojców i matki, którzy ustąpili ich prośbom i przybyli razem z nimi na owo zapowiedziane przedstawienie.

Były to jednakże przeważnie dzieci robotników gdyż urzędnicy fabryczni i miejscowy doktor postanowili najprzód sami zobaczyć owo przedstawienie, aby się przekonać, czy jest ono odpowiednie dla młodziutkich oczu ich dzieci i czy zamiast rozrywki nie przyniesie ono szkody ich jasnym i czystym duszyczkom.

Z tego powodu w kilku domach osady panował żal i lament i matki musiały się pogniewać surowo, aby uciszyć próżne płacze i narzekania. Tak samo musiała postąpić i pani doktorowa w stosunku do swojej trójki: trzynastoletniego Henia, jedenastoletniej Mani i malej ośmioletniej, żywej jak iskra Oli.

— Dostyc już dzieci — rzekła stanówczo. — Tatus tak postanowił i tak być musi. Tatus i tak wiele dla was poświęcił, skoro sam poszedł, aby się

przekonać, co warte są te przedstawienia chociaż go te rzeczy wcale nie bawią

— Ale ja wiem, że tatusiowi się wszystko podoba — rzekła z przekonaniem mała Ola. — Ten czarny chłopiec jest taki ładny i taki smutny zarazem. Chciałabym, żeby przyszedł tutaj do nas. Dobrze, mamsiu?

— Nie umiem ci nic odpowiedzieć, moje dziecko — odrzekła pani doktorowa — poczekaj do jutra, jak tatuś wróci, to nam powie, co można, a czego nie można. A tymczasem składajcie książki i spać. Jutro dzień powszedni, Henio i Mania idą do szkoły, muszą więc wstać o zwykłej porze.

Z tymi słowami pani doktorowa podniosła się z miejsca, a na ten znak i dzieci, acz niechętnie złożyły książki, ucałowały rece matki i udały się na spoczynek.

Następnego dnia w szkole lekcje napozór szły tylko zwykłym trybem. Dzieci były tak nieuważne tak roztargnione, tak przejęte wczorajszym widowiskiem że nauczyciel i nauczycielka musieli postawić kilka złych stopni w dziennikach uczniów i uczennic.

Zaledwie też zabrzmiał dzwonek, oznajmiający koniec lekcji, dzieci ubrały się szybciej niż zwykle i tłumnie pobiegli na plac cyrkowy. Tylko Henio

Mania, pomni rozkazów mamy, choć chęć ciągnęła ich za innymi, zwrócili się ku domowi.

— Wiecie, co się stało? — zawołała Ola, wybiegając naprzeciwko wchodzących. — Widziałam czarnego chłopczyka i rozmawiałam z nim.

— Żartujesz! — odrzekli niedowierzająco Henio i Mania,

— Naprawdę! — odrzekła przekonywającą. — Poszłam z Józią na spacer i spotkałam go przy studni, powiedział mi, że się nazywa Giggoi (Dzidzio), że jest niczyj, bo jego tatuś i mamusia i brat i siostra zamknięci są pod ziemią. Że jego pan jest duży i mocny i bije go i nie tylko jego, ale i Bolo i Nera, jego psów i Karę, jego małpkę i nie dają im jeść

Wszystko to Ola wypowiedziała jednym tchem prawie, dumna ze swoich wiadomości.

— To niewiele się dowiedziałaś! — rzekł Henio z pogardliwą minką, zazdroszcząc w duszy siostrze tych wiadomości.

Ola zrobiła obrażoną minkę i byłaby może odpowiedziała coś braciszкови, coby mu się nie zbyt podobało, gdyby w tej chwili nie zawołano ich na obiad.

Przy obiedzie Ola zwróciła się z prośbą do ro-

dziców, aby pozwolili jej pobawić się kiedy z czarnym chłopczykiem i przyprowadzić go do domu.

Pani doktorowa obiecała to małej trzpiotce warunkowo i wzamian wzięła od niej obietnicę, że nigdy już z nieznanymi rozmawiać nie będzie.

Tymczasem na placu działa się inna scena. Dziewczynka w różowej sukience stała przed Giggio i z gniewnym blaskiem w oczach, mówiła ostro:

— Czekaj, powiem ojcu, że sobie wystajesz pod studniami i wdajesz się w rozmowy z dziećmi. Wiesz, że ojciec tego zabrania, ojciec nie chce żeby dzieci oswajały się z nami, bo nie będą przychodzić do cyrku i dawać ojcu pieniędzy, jak się o tem dowie, to wybije cię, jak zwykle.

W czarnych oczach chłopca mignęło przerażenie

— Nie, Elza tego nie zrobi — szepnął prosząco — a Giggio wieczorem tak będzie się starał, że da panu pieniądze, dużo pieniędzy. I pan będzie lwesoły i nie będzie bić i da jeść i Giggio i Bo-o i Nerowi i Karze

— Giggio jest głupi — zaśmiała się brzydtko dziewczynka. — Co ciebie psy i małpa obchodzą?

— Giggio je kocha — odrzekł chłopiec — one

szły z Giggio, kiedy pan nas spotkał i zabrał razem.

Dziewczynka wykręciła się na pięcie i w podskokach wybiegła z namiotu, a Giggio nałożył czapkę, zarzucił na ramiona płaszczyk i wybiegł popatrzeć na jasną, zalaną potokami złocistego słońca przestrzeń łąk i pól uprawnych, na zielone drzewa ogrodów i na ludzi innych, łagodnych i uśmiechniętych, tak różnych od jego pana, który kląć i bić potrafił.

A ta mała dziewczynka, z którą dziś rano rozmawiał, jakaż była dobra i malutka, o wiele lepsza i miłsza od Elzy, która wiecznie się z niego wyśmiewała. Ale nie trzeba myśleć o tem, trzeba pomyśleć o zdobyciu pieniędzy, dużo pieniędzy dla pana, żeby biedne pły i małpka nie dostała na kolację batów zamiast kawałka rozmoczonego chleba.

Pogrążony w tych myślach Giggio, kręcił się po pustych w tej chwili ulicach osady, zaglądał do otwartych drzwi domów i szedł coraz dalej i dalej.

W ten sposób zaszedł na koniec osady w chwili, kiedy z ostatniego jej domku wyszły dwie małe dziewczynki i wzięwszy się za rękę pobiegły w stronę fabryki. Giggio wszedł do opuszczonego domku, wyszedł jednak zaraz i z rozjaśnioną twarzą szybkim krokiem wrócił do cyrkowego namiotu.

Tego dnia przedstawienie udało się świetnie. Psy i małpka pokazywali swoje sztuki z minami tak wesołymi, że zachwyceni widzowie poczęli rzucać im kawki cukru i chleba, które w tym celu zabrali z sobą.

Następnego dnia w domu doktora gwarно było i wesoło, gdyż była to niedziela i dzieci używały większej swobody niż zwykle. Przytem tatuś obiecał im, że po obiedzie przyprowadzi im czarnego chłopczyka, którego Ola tak bardzo pragnęła poznać bliżej, a wieczorem zabierze wszystkich na przedstawienie, aby zobaczyły również tresowane psy i małpkę, małego włocha. Mama jednak postawiła, za warunek, że przedewszystkiem sama pomówi z małym sztukmistrzem, a dopiero potem dzieciom się z nim bawić pozwoli.

Henio i Mania skrzywili się trochę na to opóźnienie zabawy, ale Ola klasnęła w rączki i oświadczyła, że to bardzo dobrze, gdyż mamusia jest tak dobra i kochana, że napewno pocałuje Giggia i on nie będzie już tak smutny.

Doktor roześmiał się mimowolnie i ucałował małą pieśczochę, a dzieci wyszły na spacer, pod opieką starej służącej.

Po powrocie Ola pierwsza wbiegła do domu

z zarumienioną twarzyczką, na której malowało się dziwne podniecenie.

— Mamusiu! — wołała już od progu, — czy mamusia wie co się stało?

— Nie nie wiem, moja ty chodząca gazetko — uśmiechnęła się doktorowa i pogłaskała okrągłą buzię córeczki.

— Ach mamuniu! — ciągnęła dalej z przejęciem Ola — spotkałam Dorotkę i Hanię, córki tego robotnika, co to mieszka na samym końcu ulicy, wie mamusia. Obie były zapłakane i powiedziały mi że jakiś zły człowiek ukradł im ze stolika trzy złote monety, które były przeznaczone na zapłacenie komornego, że ich tatuś nie ma więcej pieniędzy że jeśli fabryka im nie pożyczy, to zostaną bez dachu. Tak mi żal tych dziewczynek i ich mamusi, która podobno całą noc przeplakała

— To bardzo poważny wypadek, moja córeczko — rzekła doktorowa — tem smutniejszy, że dotychczas u nas tego nie bywało, a przynajmniej od kąd z waszym tatusem mieszkam. o żadnej kradzieży słyhać nie było. Co zaś do Piotra, moje dziecko, to dla niego ta kradzież może się stać prawdziwą klęską. Biedak pracuje w fabryce dopiero od pół roku, a regulamin fabryczny nie pozwala wyda-

wać żadnych pożyczek tym, którzy nie przesłużył jeszcze lat dwóch.

— Ach, biedna Dorotka i Hania! — zawołała Ola, w której szafirowych oczach błysnęły łzy współczucia. — Mamusiu moja droga, złota mamusiu, pozwól mi oddać ten złoty pieniądz, który dostałam na imieniny, od mojej chrzestnej mamy. Mnie to przecież nie potrzebne, a oni się tam tak martwią, tak płaczą.

— Owszem, córeczko, nie mam nic przeciwko temu — rzekła matka, panując nad wzruszeniem, które ją mimowoli ogarniało na widok tej serdecznej dziewczynki, która tak głęboko odczuwała każdą niedolę ludzką. — W tej chwili dam ci twój pieniądz i jeszcze coś ze swoich oszczędności dołożę.

— A ja pójdę poproszę tatusia — zawołała dziewczynka i nie czekając na pozwolenie matki, jak wicher wpadła do gabinetu ojca.

Po chwili wróciła uradowana i potrzęsając wysoko zaciśniętą pięstką już zdaleka zwróciła się do matki:

— Mamusiu, mam drugi złoty pieniądz, tatus dał! Ach, żeby to jeszcze trzeci znaleźć, toby już było wszystko!

— My ci damy, co mamy — rzekli Henio

i Mania, — ale to nie wiele, bośmy dużo wydali. Ja mam tylko dwa ruble.

— A ja trzy — szepnęła Mania.

— To razem pięć — rzekła mama. — Ja mogę dodać pięć, to już dziesięć!

— A ile brakuje do złotego pieniądza? — zapytała Ola.

— Jeszcze pięć rubli kochanie. Taki złoty pieniądz ma wartość piętnastu srebrnych rubli.

— Ach mamusiu przecież ja mam jeszcze rubla mojej pensji miesięcznej, bo w tym miesiącu nie wydałam ani grosza — rzekła dziewczynka. — Daj mamusiu i tego rubla, to będzie jedenaście.

— W takim razie ja proszę o dołożenie rubla z mojej pensji — rzekła stara Wincentowa, która od kilku chwil stała w pokoju i uważnie przysłuchiwała się wszystkiemu. — Kiedy Olutka tyle daje to niechże i jej stara niania przyłoży się czem może do jej dobrego czynu.

— Mamy więc dwanaście rubli i brak nam jeszcze trzech rubli, do tego trzeciego pieniądza — rzekła mama — skądby tu je wziąć?

— Ja bym miał na to radę — odezwał się Henio — tylko nie wiem, czy mamusia się zgodzi.

— No jakaż to rada?

— My z Manią, a szczególnie ja daliśmy naj-

mniej, bo wydawaliśmy bez rachunku. Ale gdyby tatuś zgodził się dać nam dzisiaj pensję za przyszły miesiąc, to zobowiązalibyśmy się przez ten czas nie prosić o nie, a te pieniądze dodalibyśmy dla Piotra.

— Owszem, myśl jest dobra — zgodziła się mama — tylko zastanówcie się, czy dotrzymacie zobowiązania.

— Dotrzymamy mamusiu — zawołały dzieci, a mama, zbliżyła się do biurka, wyjęła z tamtąd złoty pieniądz Oli i piętnaście srebrnych i wręczyła to małej pieszczoszce, która z radości to śmiała się to płakała na przemiany.

Rzecz prosta, że doktor zgodził się na propozycję dzieci, poczem zmienił im wszystkie srebrne ruble na jeden złoty pieniądz, aby biedny Piotr miał wrażenie, że to te same ukradzione monety.

Ponieważ do obiadu, było jeszcze pół godziny przeto mama pozwoliła Oli pójść raz jeszcze z Wincentową i odnieść pieniądze zrozpaczonemu biedakom.

Rzecz prosta, że Ola tego dnia jadła obiad z podwójnym apetytem i raz wraz zapytywała ojca kiedy sprowadzi czarnego chłopczyka. Uspokoila się dopiero kiedy ujrzała, że doktor bierze kapelus

i łaskę, usiadła spokojnie przy oknie, skąd widać było doskonale całą drogę do cyrku

Pierwsza też ujrzała powracającego doktora, obok którego szedł gość upragniony.

Pani doktorowa przyjęła biednego chłopca jak matka, ucałowała go w czoło i pozwoliła mu się bawić z dziećmi, aż do podwieczorku, na który kazała zrobić ulubiony dzieciom przysmak, czekolada z ciastkami.

Biedny chłopiec tak był uszczęśliwiony, tak zachwycony, że chwilami zdawało mu się, że cała jego bytność w tym pięknym domu, cała zabawa z tymi dobrymi, łagodnymi i grzecznymi dziećmi, to sen tylko... z którego zaraz obudzi go bat jego pana.

Po podwieczorku pani doktorowa wzięła chłopca do swego pokoju i zaczęła go wypytywać o jego przeszłość, o terażniejszość jego życia i zamiary na przyszłość. Z rozmowy tej zacna kobieta wynioskowała, że chłopiec chowany jest dziko bez najmniejszych zasad, bez pojęć o uczciwości, obowiązującej ludzi, że wobec tego przez samą nieświadomość gotowy jest do popełnienia każdej zbrodni, że jednak jest to natura niezmiernie wdzięczna i uczuciowa, przeto gdyby go się udało wyrwać z rąk nikczemnego przedsiębiorcy cyrkowego, któ-

ry wyzyskuje nieświadomość chłopca i do złych czynów namawia, możnaby duszę dziecka uratować i wychować je na uczciwego człowieka i członka społeczeństwa.

Pani doktorowa podzieliła się tymi wiadomościami z mężem i oboje zaci ci ludzie zaczęli przemyślać nad tem, jakby w spokojny sposób wyrwać Giggio z rąk szkaradnego niemca.

Tymczasem Piotr nie zasypiał sprawy ukradzionych pieniędzy. Ofiarę Oli przyjął bardzo wzruszony, ale tem większą nienawiścią zapalał do sprawy kradzieży, który to zacne dziecko do takiej zmusił ofiary

ozpytując córki o wszelkie szczegóły owego dnia, doszedł do wniosku, że kradzież mogła być spełniona tylko w owej chwili, kiedy dziewczynki wybiegły na spotkanie powracających z fabryki rodziców. Ponieważ jednak przy wyjściu z domu nie widziały nikogo prócz małego sztukmistrza, przeto na niego skierowało się odrazu podejrzenie Piotra. Po długim namyśle podejrzenie to stało się dla niego takim pewnikiem, że nie radząc się nikogo, udał się na policję, wskazując małego Giggio, jako złodzieja.

Na jego żądanie policjanci wpadli do cyrku, po

chwycili chłopca, uprowadzili z sobą i osadzili w tymczasowym areszcie.

Z początku, przez poczucie własnego interesu, właściciel cyrku próbował stawić opór władzy, ale jednak zagrożono mu, że jeśli na śledztwie okaże się, że on właśnie korzystał z kradzieży, to będzie odpowiadał jeszcze surowiej niż dziecko, zrozumiał, jakie mu grozi niebezpieczeństwo, odwołał przedstawienie, które bez chłopca i tak odbyć się nie mogło, pocichuspackował manatki i w nocy na leb na szyję opuścił osadę.

Tymczasem uwięzienie małego Włocha narobiło alarmu w całym miasteczku, a szczególnie w małym świątku dziecięcym.

W domu doktora dowiedziała się pierwsza o tem Ola. Dziewczynka wychodziła codzień na spacer z Wincentową, a że знаła wszystkie dzieci w osadzie, i przez wszystkie bez wyjątku lubioną była, przeto pełno zawsze miała wiadomości, które z tryumfem powtarzała w domu.

Mama ganiła nieraz tę zbytnią ciekawość dziewczynki, rozumiała jednak, że ciekawość ta pochodzi nie z bezmyślnej chęci powtarzania nowinek, lecz serdecznego zainteresowania się wszystkim co się dzieje w osadzie.

Tego dnia Ola prawie zaraz wróciła ze spaceru i z płaczem powtórzyła matce wiadomość o aresztowaniu Włocha.

— Ach, biedny, biedny Giggio — łkała żałośnie -- on nie wiedział, że to źle brać cudze rzeczy, a teraz nikt go nie będzie kochał, wszyscy mu będą dokuczać, a on jest sam na świecie, bo nawet jego nie-dobry pan uciekł w nocy.

Na tę nową wiadomość wyjaśniła się cokolwiek twarz doktorowej, gdyż prawna opieka właściciela cyrku utrudniała niezmiernie każdemu zaopiekowanie się malcem.

Wyjazd trupy pozostawiał Giggia na łasce i nie-łasce losu, pozwalał zatem każdemu zająć się dołą biedaka.

Nie chcąc nie postanowić sama, doktorowa jako tako uspokoiła córeczkę i doczekała się powrotu męża.

Doktór wiedział już o wszystkim i żał mu było bardzo biednego dziecka, które czyniło źle przez nieświadomość ważności dokonanego czynu.

— Co będzie z Giggio? — zapytała maleńka, gdy ojciec wszedł do gabinetu.

— Nie wiem, córeczko — odrzekł doktor — prawdopodobnie po śledztwie odeślą go do gubernialnego miasta, do domu poprawy, albo tutaj skarżą na więzienie.

— Ach tatusiu! — błagała składając rączki
Ola — uratuj biednego Giggio! Wszak jemu i tak
smutno będzie, jak zrozumie, że taki brzydki czyn
popęłnił.

— Dobrze dziecinko — rzekł wzruszony dok-
tór — zrobię co tylko będę mógł, aby ocalić to
biedne dziecko od hańbiącej kary, bo i ja uważam
go za nawpół tylko winnego.

— I weźmiesz go tatusiu, do nas? zobaczysz,
jaki on będzie dobry i rozumny.

— Tego jeszcze nie wiem, kochanie. Muszę
się wprzód rozmówić z mamusią

Zadowolona i pełna nadziei Ola pobiegła zno-
wu do matki, lecz ta nie miała czasu gawędzić
z dziewczynką, gdyż szybko wybierała się do wyj-
ścia.

— Dokąd idziesz mamusiu? — zapytała cieka-
wie dziewczynka.

— Idę odwiedzić Giggio — odrzekła mama. —
Biedak pewnie sobie wyobraża, że go już wszyscy
na świecie opuścili. Pójdę, pomówię z nim, pocie-
szę i na dobrą naprowadzę drogę.

Ola nic nie odrzekła, lecz z gorącym uczuciem
ucałowała ręce matki i cichutko usunęła się do swe-
go kącika, czekając na powrót brata i siostry ze
szkoły.

Pani doktorowa udała się tymczasem wprost do aresztu, gdzie nie robiono jej żadnych trudności w widzeniu się z aresztowanym

Zacna kobieta uściskała przedewszystkiem zalanego łzami chłopca, potem usadowiła go przy sobie i w słowach prostych, lecz, lecz prosto z serca płynących, mówiła mu o miłości bliźniego o samotności serc nie kochających i niekochanych o krzywdach względem bliźnich i o zwracaniu się tych krzywd przeciwko krzywdzicielowi,

Giggio słuchał uważnie, nie przerywając ani słówkiem, tylko łzy coraz gorętsze płynęły mu z jego czarnych, smutnych oczu. Dopiero kiedy skończyła, rzucił się przed nią na kolana i okrywając palunkami jej ręce, zaczął mówić rozdzierającym serce głosem.

— Giggio nic nie wart. Giggio skrzywdził biednego Piotra, zabrał trzy złote pieniądze i dał panu żeby pan nie bił i dał jeść i Giggio i Bolo i Nero-wi i Karze. Giggio boi się więzienia, ale musi w nim siedzieć, bo źle zrobił i nic naprawić już nie może. Tylko niech dobra pani i malutka panienka kochają Giggia choć trochę, bo on nie wiedział, że krzywdzi Piotra i już nigdy w życiu nikogo nie skrzywdzić nie chce.

Wzruszona kobieta pogłaskała ciemną, przytuloną do jej kolan, głowę chłopca, poczem dodała mu otuchy, pocieszyła upieściła i obiecawszy raz jeszcze zająć do niego, wróciła do domu.

Tutaj pospieszyła zaraz do gabinetu ojca, z którym długą i przyciszoną miała rozmowę, po czem ukazała się dzieciom wzruszona lecz dziwnie jasna i promienna. Doktor był również wzruszony i wzrokiem pełnym czci i miłości obejmował postać ukochanej żony.

Obiad przeszedł w milczeniu i dopiero przy deserze doktor zwrócił się do dzieci z zapytaniem:

— Czy pragniecie, dzieci, abym ratował Giggia i sprowadził go do nas na zawsze?

— O tak tatuniu! — zawołała radośnie Ola. — Będziemy go tak kochać i uczyć, aż się zrobi taki dobry jak tatuś!

— I ja będę rada Giggiewi — rzekła Mania — bo wierzę, że się poprawi i będzie dla nas dobrym.

— Gdybym wiedział, że nie popełnił kradzieży — rzekł Henio — to przyjąłbym go, jak brata, ale tak trudno mi będzie zapomnieć o tym fakcie.

Na to odezwanie się Henia, obojgu rodzicom spoważniały twarze. Ze smutkiem spojrzeli na syna poczem ojciec odezwał się spokojnie lecz poważnie:

— Dziwi mnie, Heniu, taki twój sąd o rzeczy. Nie chcesz i nie umiesz wybaczyć biednemu chłopcu, czynu popełnionego nieświadomie co do jego znaczenia, a jednocześnie wybaczasz i zapominasz o wielu własnych czynach, popełnionych z całą świadomością rzeczy. Giggia nie uczył nikt, jakim uczciwy i szlachetny człowiek być winien, ciebie na każdym kroku słowem i czynem pouczamy my, rodzice twoi i nauczyciele twoi, a jednak za wiele czynów swoich rumienić się musisz. Jeżeli tę samą miarę sprawiedliwości, jaką stosujesz do Giggia przyłożysz i do siebie, to może szepnie ci sumienie że biedny, nawpół dziki chłopiec pomimo wszystkich swoich czynów nie jest wcale gorszym od ciebie, a w przyszłości nawet może być o wiele lepszym, bo więcej posiada serca.

Zaczerwieniony po uszy Henio chciał coś odpowiedzieć ojcu, lecz doktor podniósł się od stołu i rzekł tylko:

— Wieczorem pomówimy jeszcze o tem. Zgóry jednak uprzedzam cię, że już postanowiłem przyjąć Giggia do nas, gdyż dwa głosy serca siostr twoich więcej mają dla mnie znaczenia, niż wszystkie twoje warunki.

Po obiedzie ojciec z mamą wyszli razem z domu i udali się najprzód do Piotra, którego długo

o czems przekonywali i do czegoś namawiali, potem do sędziego z którym również długą mieli rozmowę.

Rezultatem tych dwóch rozmów było umorzenie z braku dowodów sprawy o kradzież trzech złotych monet i przeniesienie się małego opuszczonego chłopca z kozy wprost do domu doktora.

Przez kilka tygodni z rzędu doktorowa nie pozwalała chłopcu wychodzić z domu inaczej, jak tylko w południe razem z Olą pod opieką poczciwej Wincentowej.

Dziewczynka szła wtedy poważnie, trzymając za rękę swego przyjaciela i rozmawiając z nim o najrozmaitszych rzeczach.

W pierwszych dniach swego pobytu u doktora Giggio był bardzo nieśmiały i skępowany, często lzy stawały mu w oczach, mówił mało i tylko z konieczności i usuwał się w kąt najciemniejszy, jeżeli ktoś obcy zjawiał się u doktora, lub jego żony. Doktorowa nieznacznie obserwowwała chłopca, rozumiała kierujące nim pobudki, nie mówiła jednak nic, tylko traktowała go narówni z własnymi dziećmi, ganiąc to co było złem i pouczając, jak być powinno. Przedewszystkiem jednak umówiła nauczycielkę Oli, aby przychodziła na godzinę do Giggia i nauczyła go czytać, pisać i rachować.

Chłopiec był zdolny bardzo, a przytem chętny do nauki i pilny. To też ku wielkiej radości doktorowej czytać nauczył się w dwa tygodnie, w drugie dwa mógł już zacząć przepisywać książki.

Inne lekcje, jak rachunki, pogadanki o rzeczach, katechizm i historję św., odbywał razem z Ołą, co jeszcze więcej zbliżyło do siebie oboje dzieci.

Dła Henia i Mani Giggio był bardzo dobrym, grzecznym i ustępliwym, ale Ołę otaczał jakimś wprost uwielbieniem. Każde życzenie dziewczynki, było dla niego rozkazem, który spełniał z uśmiechem rozradowania w swych zawsze smutnych oczach.

Oła odplacała mu się serdeczną miłością i martwiło ją to, że Giggio był zbyt poważnym i nie śmiał się prawie nigdy

— Mamusiu, dlaczego on nie skacze i nie śmieje się tak, jak Henio i Mania? — zapytała dziewczynka matki, do której miała nieograniczone zaufanie i której się zawsze ze wszystkich swoich trosk zwierzała.

— Prawdopodobnie, córeczko — odrzekła doktorowa — że Henio i Mania są dziećmi szczęśliwymi, którym ani pieśczoły rodzicielskiej, ani niczego w życiu nie brakowało, a on, biedak, ledwie

ze pamięta ojca i matkę i od najwcześniejszego dzieciństwa rzucony został w otoczenie ludzi złych i bez serca. Powtóre zdaje mi się, kochanko, że Giggio z powodu owego czynu czuje się gorszym od was i niegodnym waszego towarzystwa.

Ola nic nie odrzekła, ale głęboko zamysliła się nad słowami mamy.

Zaraz też nazajutrz, kiedy wyszli na zwykły spacer, rozpoczęła rozmowę na ten temat

— Słuchaj, Giggio — rzekła — czy ci źle u nas? Bo się nigdy nie śmiejesz, jakby ci było źle lub jakbyś nas nie kochał.

— O, dobrze mi, tak dobrze, że już chyba nigdy być lepiej nie może! — zawołał chłopiec z uniesieniem — i kocham was wszystkich bardzo, a najbardziej twoją mamę i ciebie. Ale smutno mi, że byłem taki zły i że wszyscy mogą myśleć, że jeszcze jestem taki sam, bo niczem nie mogę okazać czy się poprawiłem.

— O, nie mów tak Giggio — rzekła Ola — mamusia mówi, że każdy, kto postanawia się poprawić ucuwa dziwny spokój. Zresztą ja sama wiem, że tak jest. Bo ty nie wiesz dodała z tajemniczą miną — że ja zrobiłam to samo co i ty, wzięłam cudzą własność.

— Naprawdę tak było — powtórzyła, widząc

nawpół przerażone, nawpół niedowierzające spojrzenie chłopca. — Przed dwoma laty przyjechał do nas stryjek z Warszawy i przywiózł nam ogromne pudło łakoci. Mamusia wydzieliła każdemu z nas pewną ilość, zastrzegając abyśmy nie zjadali wszystkiego od razu, lecz zostawili sobie na dzień następny. Wtedy była u mnie dziewczynka Renia. Zaczęłyśmy z nią się bawić w cukiernię i niespostrzeżenie zjadłyśmy moją całą porcję. Wieczorem okazało się, że Henio i Mania mają jeszcze bardzo dużo, a mnie już nic nie zostało. Wtedy zdjęła mnie taka szkaradna zazdrość, że wstałam z łóżeczka i wzięłam z każdej torebki po jednym cukierku.

— I co? — zapytał widocznie przejęty Giggio.

— Z początku nie chciałam się przyznać, ale było mi jakoś smutno, tak nieprzyjemnie, serce me biło tak mocno, że już nazajutrz musiałam się przyznać do winy.

— To nie to, co ja zrobiłem — szepnął chłopiec.

— Zupełnie to samo — rzekła stanowczo Ola. — Musiało być to samo, bo mamusia zaczęła płakać, a tatuś spojrział na mnie takim wzrokiem, że byłabym się chciała pod ziemię schować, a przytem czułam wyraźnie, że wszyscy mają dla mnie pogardę. Przez kilka dni czułam się bardzo biedną,

aż wreszcie pōmodliłam się gorąco, postanowiłam nigdy już nic podobnego nie robić i tak postępować aby mnie wszyscy musieli kochać i szanować. Po-
tem poszłam do mamy i tatusia i wiesz, wcale ich nie przepraszałam, tylko powiedziałam, że mogą mnie napowrót kochać, bo już nigdy tego nie zrobię, gdyż zrozumiałam, że było to brzydkim grzechem. Od tego czasu znów byłam spokojna i wesoła.

— Ach, Olu ty jesteś taka dobra, że już chyba lepszej być nie może, nic więc dziwnego, że wszyscy zapomnieli o takiej drobnej winie, i że wszyscy cię tak bardzo kochają. Ale ja jestem starszy a przytem chciałbym być takim dobrym jak ty i nie umiem i nikt mnie tak nie kocha jak ciebie.

— Nieprawda — rzekła rezolutnie Ola — i mamusia i ja kochamy cię bardzo, a tatuś powtarza zawsze, że nim kogoś pokocha, musi go wprzód szanować, więc bądź tylko dobrym to i tatuś mus cię pokochać.

Dzieci wróciły do domu, ale Giggio nie mógł zapomnieć rozmowy z Olą, w której maleńkim serduszku tyle było prostego uczucia i głębokiego rozumu.

Stał się mniej dzikim, spokojniejszym i swobodniejszym niż dawniej, a jednocześnie wszelkiem i

sposobami starał się okazywać miłość dla tych, którzy go, sierotę przygarnęli.

Doktorowa, która z początku okazywała mu dobroć tylko przez litość dla jego niedoli, po kilku miesiącach poczuła dla niego szczerą i serdeczną przywiązaną, doktor również wysoko cenił wychowanka, a dziewczynki przepadały za nowym braciśkiem, który był dla nich o wiele lepszy niż brat rodzony.

Jeden Henio nie czuł nic więcej, dla sieroty nad prostą, obojętną, a nawet nieraz patrząc z niechęcią, jak Gingio rwie się do nauki i z jaką uwagą słucha rad i objaśnień doktora.

— Chce pokazać, że jest lepszym odemnie — myślał z zawiścią. — Ale musi tak robić — dodał sobie na pociechę — bo powinien odpokutować za tamten czyn.

Matka widziała to usposobienie syna i warte było się tym jego brakiem serca ogromnie, nic jednak nie mówiła, czekając odpowiedniej chwili do zmiękczenia charakteru małego uparciucha.

Tak przeszło kilka miesięcy i nadeszła upagniona przez wszystkie dzieci. Boże Narodzenie. Do tego czasu Giggo miał bardzo mało stosunków z innymi dziećmi w osadzie gdyż doktor i jego żona unikali zetknięcia się chłopca ze światem, lęka-

jąc się dla niego złościwości wielu złych i źle wychowanych malców.

Teraz jednak trudno było uniknąć tego, postanowili więc, aby posłać wszystkie dzieci pod opieką tylko Wincentowej na zabawę, którą fabryka rokrocznie urządzała w wilję Nowego Roku dla wszystkich dzieci z osady.

Ubrani jednakowo, jak bracia trzymając dziewczynki za ręce weszli obaj chłopcy do wielkiej sali fabrycznej, gdzie na środku jaśniała wspaniale ubrana choinka.

Na widok wchodzących, zebrana już gromadka dzieci podskoczyła ku nim, lecz wszyscy witali tylko Henia, Manię i Olę, nie zwracając wcale uwagi na osamotnionego Giggio. Kilku tylko chłopczyków i dziewczynek przywitało się z nim grzecznie, lecz i ci opuścili go również.

Ola dostrzegła ten manewr dzieci i gorącą serduszko oburzyło się na tę niepoczciwość.

Jednym skokiem znalazła się przy opuszczonym przybranym bracie i pochwyciła go za rękę.

— Chodź, Olu, bawić się z nami! — wołały dziewczynki.

— Choć Olu! dodali chłopcy. — Urządzamy kotka i myszkę w około choinki. Będziesz myszką!

Na te wołanie Ola postąpiła krok jeden, ale

nie przyłączyła się do rozbawionego grónaj lecz wodząc po nim roziskrzonym wzrokiem i zawołała gniewnie:

— Dlaczego nie chcecie się bawić z Giggio?—
On jest dobry, lepszy od was wszystkich i mój tatuś i mamusia kochają go na równi z nami!

— Nie będziemy się z nim bawić, bo nie chcemy się bawić ze złodziejem — rzekł jakiś duży chłopiec o niesympatycznej twarzy.

Z oczu Oli trysnęły błyskawice, małe piąstki zacisnęły się mimowolnie, zaraz jednak lży jej po buzi pocięły i rzekła załośnie:

— Jeśli dlatego nie chcecie się bawić z Giggio, to i ze mną bawić się nie możecie, gdyż... gdyż ja popełniłam to samo, nie rozumiejąc, że to jest grzech i wstyd. Ale tatuś mój mówi, że ten tylko ma prawo potępiać innych, kto sam jest bez winy, a ty, Janku — dodała zwracając się do dużego chłopca — zapomniałeś chyba, żeś niedawno wziął w tajemnicy całą deskę z warsztatu twojego ojca, a ty, Róziu, pamiętasz chyba, że śniadanie Maniusi znalazło się w twoim woreczku. A czyż pomiędzy wami mało jest takich, którzy mają na sumieniu nie jeden kawałek cukru, nie jedno ciastko lub owoc, wzięte po cichu z zamkniętego kredensu, a dzisiaj stara-

cie się potępić biednego Giggia za to tylko, że zrobił coś nie wiedząc, że robić tego nie wolno. Wstyďte się, nie jesteście ani dobrzy, ani poczciwi.

I żaden porządny człowiek was za to nie pochwali — dodał jakiś poważny głos i do sali wszedł dyrektor fabryki, który od chwil kilku z widocznym zajęciem słuchał przemowy Oli.

— A ty dziecinko — dodał, zwracając się do niej — pozwól się ucałować za śmiałość, z jaką bronisz tych, których kochasz. Jesteś dzielną córką twojej zacnej matki.

Z tymi słowami poważny dyrektor ucałował dziewczynkę w oba policzki, poczem wzięwszy Giggia i Olę za ręce, zwrócił się do reszty dzieci i rzekł

— My idziemy się bawić do sąsiedniej sali. Kto jest grzeszny, ale poczciwy, niech idzie z nami, kto zaś nie chce się bratać z takimi jak my grzesznikami, nie zostanie tutaj!

Na to wezwanie wszystkie dzieci pobiegły za zacnym dyrektorem, w sali zaś zostali, Janek i Różia, którzy właściwie podmówili inne dzieci do okazania pogardy biednemu Giggio.

Z jakąż zazdrością patrzyli na rozmaite zabawy wymyślane przez samego dyrektora, który zapo-

minając o swojej powadze, bawił się z dziećmi jakby miał lat dziesięć lub dwanaście.

Giggio rozruszał się również. Wciągany nieustannie do zabawy przez dyrektora, okazał się towarzyszem tak miłym, grzecznym i uprzejmym, że wszystkie dzieci zostały nim zachwycone i raz nazawsze zapomniały o wszelkich względem niego uprzedzeniach.

Nawet chłodnego Henia poruszyło nieszlachetne zachowanie się Janka i w głębi duszy wyznał przed sobą, że sam niedalekim był od podobnego postępku, gdyż pozwalał, aby rozwinęła się w nim bezdrość względem biednego sieroty, który się niczem do tego nie przyczynił. To też po powrocie do domu, poszedł do gabinetu ojca i opowiedział mu nietylko zajście w fabryce, ale wyznał mu dotychczasowe swoje myśli i uczucia prosząc, o pomoc i radę do ich zwalczenia.

Od tego czasu w małym światku dziecięcym zapanowała miłość i zgoda.

Dzieci rosły i uczyły się pilnie, a wszystkim przodował Giggio swymi nadzwyczajnymi zdolnościami

Od owego też czasu dyrektor fabryki upodobał sobie małego włocha, prosił doktora, aby pozwolił mu zająć się jego losem. Na żądanie też no-

wego opiekuna chłopiec porzucił osadę i wstąpił do szkół w Warszawie, po ukończeniu których wyjechał dla dalszego kształcenia się zagranicę.

Dawnych jednak stosunków z osadą nie zerwał. Częste listy do opiekuna, doktora i jego żony, a nawet do małej Oli, która na rozumną i zacną wyrosła panienkę, mówiły zawsze o tęsknocie i radości prędkiego zobaczenia tych, co go samotnym dzieckiem przygarnęli i nauczyli kochać wszystko, co dobre i piękne.



MAŁA BIBLIOTECZKA № 20.

Z Dzienniczka
Małego Wisusa

□ □ □ □

NAKŁADEM „KSIĘGARNI POPULARNEJ”
W WARSZAWIE



Printed in Poland
Druk. Sz. Sikora

1. DO SZKOŁY!

Bardzo cię kocham, mój drogi dzienniczku! Jesteś dla mnie jakby żywym serdecznym przyjaciелеm, przed którym ze wszystkich trosk i kłopotów zawsze szczerze zwierzyć się mogę. A utrapień mam naprawdę wyżej uszu! Nie wiem dlaczego, ale wszystkie moje dobre zamiary zawsze się tylko w przykrość dla kogoś zamienić muszą, a z każdego mojego czynu za-wsze nowy kłopot wyrasta

Ale teraz skończyło się wszystko! Jadę do szkoły, do jakiejś okropnej szkoły, może o 100 mil od naszego miasta. Wiem, że pan profesor w liście do tatusia obiecywał, że znajdę tam: „zdrowy pobyt na wsi, obfite pożywienie, staranną opiekę i umiarkowane warunki”. Lękam się cokolwiek tych „umiarkowanych warunków”, ale postaram się zmienić je na „nieumiarkowane”.

Żal mi tych, do których jadę, bo podobno, jak mówi tatuś, jestem takim wisusem, jakiego świat nie widział i dlatego muszą mnie wysłać do szkoły, choć Betty, nasza pokojówka, mówi, że trzeba nie mieć serca, aby takiego małego chłopczyka i jedyne przytem syna oddawać do obcych. Zgadzam się z nią najzupełniej i powiedziałem jej, że gorycz rozstania z domem złagodzić może tylko dobrze wypakowany koszyk.

Tymczasem żegnam cię, mój miły dzienniczku. W szkole pewnie nie będę miał czasu zajrzeć [do ciebie, gdyż obiecałem mamie, że będę się sprawował tak, aby jej nie przynieść wstydu. Na wyjeźdźnym wsunąłem do kieszeni moją małą wiewiórkę. Ciekawy jestem, jaki to efekt zrobi, jak ją puszcze na stół, kiedy po raz pierwszy zasiądziemy tam do śniadania

Mój Boże, jaki ja jestem samotny! Ten stary pan obok mnie tak smacznie sobie zasypia, a ja wcale spać nie mogę. Ukłuję go igłą, zobaczę, czy wysoko podskoczy i czy mu okulary z nosa spadną. Będzie to nawet dobry uczynek, bo w wagonie spać niebezpiecznie,— złodzieje okraść mogą.

2. NIEZWYKŁE POWODZENIE.

Po raz pierwszy doświadczam tęsknoty za domem i uważam, że jest to uczucie okropne. Całą noc nie spałem, myśląc, czy Karolek Hawkins zrobił już tego wielkiego latawca, którego miał zrobić i czy kucharka nie zużyje czasem wszystkich powideł, zanim wrócę do domu.

O, mamó, zabierz stąd swojego Jerzyka! Nie mogę dłużej słuchać, jak profesor Pitkins z pogardą mówi o moim czytaniu, nie mogę jeść kotletów wołowych z owsianą kaszą, jakie nam dają na drugie śniadanie i nie chcę znosić drwinek starszych uczniów. Szkaradne chłopaki! Im się zdaje, że każdy malec ma tylko tyle czucia, co żaba. Żabie to wszystko jedno, czy jej utną głowę, czy nie (muszę nawet kiedy spróbować, tylko wprzód złapię ją na haczyk), ale ja jestem przecież mały człowiek.

Pani Pitkins obiecała tatusiowi, że „będzie dla mnie matką“. Aha, figa marynowana! Moja mamusia nie gniewałaby się na mnie, że tęsknię do domu i nie kładłaby mi przy stole na krzesło wielkiego słownika abym dostał do talerza. Tak mi tu dokuczają, że chyba oszaleję!

Zginęła mi chustka jedwabna, a i rękawiczki głupi kot na dach zaniósł, bośmy mu je zamiast kapturka na głowę włożyli. Jack Bens najstarszy z chłopców, powiada, że jestem dzielny chłopczyk i że mnie bierze w opiekę. To dobrze, będę miał przynajmniej jednego przyjaciela!

Ach, jak mi tęskno do domu! Jak pomyślę o tych trzech beczkach z jabłkami, co stoją u nas w piwnicy, to lotem ptaka poleciałbym do swoich!

Pani Pitkins jest damą przerażająco tłustą. Nie wiem, skąd się to u niej bierze, chyba ciągle coś pocichu przed nami zjada.

Dzisiaj przy obiedzie postanowiłem być bardzo grzecznym. To też, kiedy pani Pitkins podniosła się na chwilę, zeskoczyłem z mojego słownika i odsunąłem jej krzesło, ale ona nie poznała się na tem i siadając z powrotem, kłapnęła na ziemię. Naprawdę aż jęknęło! Przypuszczam, że gdyby była z porcelany, toby się na tysiąc kawałków rozleciała. Stanowczo nie powinna się była na mnie gniewać bo to przecież była jej wina, że tak nieostrożnie siadała.

Uczę się teraz geografii. Profesor mówi, że ziemia jest okrągła, ale ja tego nie widzę,

a na słowo dziś nikomu wierzyć nie można. Uczę się również arytmetyki—zabawna nauka! Powiada np., że jeżeli Karol ma 7 latawców, a John 2 razy tyle, to John ma ich 14, a to przecież dla jednego chłopca za dużo, chyba, że wiatr jest bardzo silny i wszystkie sznurki pękają. Zrobiłbym i ja latawca, ale ten ryż gotowany z syropem, jakim nas tutaj karmią, odbiera ochotę do wszystkiego. Muszę napisać do Betty, żeby mi przysłała odpowiednio wypakowany koszyk, przecież się jej list odemnie należy.

3. SKALP.

Profesor Pitkins kicha i kicha nieustannie. Dzisiaj włożył na głowę czerwoną chustkę, w której bardzo śmiesznie wygląda. Pani Pitkins, która od owego upadku leży w łóżku, wezwała mnie do siebie i całą godzinę kładła mi w uszy, że jestem złym chłopcem i że profesor może od tego umrzeć. „Proszę pani,—odrzekłem,— jeżeli pan profesor umrze, to szkoła zostanie zamknięta i my wszyscy rozjedziemy się do domów,—prawda?”

Wtedy ona krzyknęła, że jestem potworem bez serca i zaczęła tak płakać, jakby ją zęby

bolały. Nie uwierzyłem temu, bo przecież chęć powrotu do domu wcale nie jest dowodem braku serca. A z profesorem to się tak stało: wczoraj, w godzinę może po kolacji, wsunąłem się do jadalni, aby zobaczyć, czy służąca schowała już plócek, który nibyto tylko dla nas upiekła. Niestety na stole było pusto tylko obok w fotelu profesor chrapał jak najęty. Zacząłem mu się przyglądać, bo miał usta otwarte jakby chciał połknąć toż, co mu się śniło; wtem nagle ujrzałem, że czubek głowy wraz z włosami uniósł mu się cokolwiek do góry. Przerażony tym odkryciem, pobiegłem do chłopców z zapytaniem, czy to nie jest przypadkiem objaw jakiej śmiertelnej choroby.

— Nie, to peruka mu się podniosła, — rzekł Jack Bens.

— Co to jest peruka?—zapytałem?

— To samo, co skalp, — odrzekł krótko Jack i zajął się swoją nudną łacińską lekcją.

Cudowna myśl strzeliła mi do głowy. W mgnieniu oka znalazłem się na dole i pociachu wsunąłem się do jadalni. Profesor spał w dalszym ciągu, więc stanąłem za jego fotelem, wyostałem ostry scyzoryk, leciutko obwiodłem nim dokoła głowy pana Pitkinsa i dwo-

ma palcami podniosłem zdobyty skalp do góry. Potem po dywanie, jak po trawie doczołgałem się do drzwi, które zamknąłem bez szelestu i jak bomba wpadłem do uczelni.

— Mam skalp profesora! — zawołałem. — Może macie pas to przyczepię do niego moją zdobycz!

W mgnieniu oka wszyscy chłopcy otoczyli mnie dokoła, wołając jeden przez drugiego:

— Wiwat! Niech żyje Jerzyk!

— Wypędzą cię!

— Profesor wścieknie się ze złości!

— Jakiś ty odważny!

— Schowaj to!

— Pokaż, jak to wygląda!

Pokazałem wszystkim, potem każdy z chłopców włożył sobie mój skalp na głowę, aż wreszcie ubrali mnie w niego, postawili na stole i Jack Bens rzekł poważnie; „Uciszcie się, Jerzyk będzie miał wykład!“

Zrobiłem odpowiednią minę, założyłem ręce za plecy, jak to zwykle czyni pan Pitkins, odchrząknęłem i zacząłem najgrubszym, na jaki się zdobyć umiałem, głosem: „Panowie, dzisiaj chcę zwrócić waszą uwagę na królestwo zwierząt, które bywa najrozmaitszych kształtów i

najrozmaitszej wielkości. Weźmy np. słońa i pchłę. Słoń jest ogromny, a pchła mała, słoń chodzi, a pchła skacze i dlatego łatwiej jest pochwycić słońa niż pchłę, ale za to, gdyby słoń miał w sobie odpowiednią do swej wielkości ilość pchlego jadu, to mógłby nią zabić cztery pułki piechoty, dwa konnicy, a i dla artylerji mógłby się jeszcze coś niecoś zostać*.

— Brawo, pan profesor!—zawołali chłopcy.

Z tryumfem znieśli mnie ze stołu, a Jack szepnął mi do ucha, abym odniósł perukę z powrotem, na co się chętnie zgodziłem. Niestety jednak chciało, że kiedy z rozmachem zsuwałem się po poręczy schodów, profesor wszedł do sieni i nie wiem, doprawdy, jakim sposobem, ostry szpic mojego bucika znalazł się nagle w jego ustach. Krew pokazała się na wargach pana Pitkinsa i wszystkie zęby wypadły mu na podłogę. No, powiedz dzienniczku, czy to moja wina? Ja przecież nie wiedziałem nawet, że zęby tak łatwo wypadają. Podczas, kiedy pan Pitkins ocierał usta, przemknąłem się do jadalni i rzuciłem perukę w ogień, gdyż profesor był tak rozgniewany, że bałem się jakiejś okrutnej kary za ten skalp nieszczęsny. Głowa profesora wyglądała zupełnie jak strusie jajko,

które przywiózł mi mój kuzyn z Afryki, ale oczy jego za to patrzyły tak groźnie, jak chyba żadne oczy na świecie. Z wielkiej złości pochwycił mnie za ramiona i zaczął tak trząść, że się mimowolnie rozplakałem i krzychał przytem przeraźliwie: „Gdzie moja głowa! Gdzie moja głowa!” Zaledwie zdołałem wyjąkać, że to pewnie kot mu ją ściągnął, ale on potrzęsnał mną jeszcze groźniej, aż się potoczyłem ze strachu i bezwiednie prawie powiedziałem: „Panie profesorze, to napewno Indianie chcieli pana oskalpować!”

Zaraz też zwołał wszystkich chłopców i zaczął badać, kto mu to zrobił i krzychał na nich okropnie. Kiedy znowu zaczął kichać, zrobiło mi się go bardzo żal i poradziłem mu, aby się położył do łóżka i postawił sobie na łysinie synapizma.

Przypomniałem sobie nagle, że mnie mama uczyła, aby zawsze mówić prawdę, więc poknałem lzy i rzekłem: „Panie profesorze, żaden z chłopców nie jest winien, bo ja sam na własne oczy widziałem, jak kot bawił się włosami pana profesora. Wchodziłem właśnie do stołowego pokoju, aby zobaczyć, czy Brygida sprzątnęła placek, bo bałem się, żeby go który

z chłopców nie zjadł i widziałem, naprawdę widziałem

Pan Pitkins włożył na nos okulary i co najmniej z minutę przyglądał mi się tak uważnie, jakbym był robaczkiem pod mikroskopem. Zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie i, chcąc odwrócić jego uwagę, zapytałem:

— Czy pan profesor urodził się z tą łysiną? Czy to niania pana profesora dała panu takie zęby, które same wypadają? To musiała być zła kobieta. Dlaczego nie dała panu takich oczu które same widzą? Wtedy nie potrzebowałby pan profesor zakładać szkieł aby dojrzeć chłopca mojego wzrostu. Bardzo, mi przykro, że pan profesor ma katar, ale jeżeli pan musi koniecznie od tego umrzeć, to czy nie lepiej umierać bez gniewu i awantur?

Profesor zmarszczył się groźnie i chciał powiedzieć mi coś bardzo nieprzyjemnego, bo zaczął: „Jesteś najnieznośniejszym chłopcem... apsik!.. jakiego w życiu... apsik!..”, ale odwrócił się i wyszedł z pokoju, bo wszyscy chłopcy pochowali nosy w chustki i pękali ze śmiechu.

Dzisiaj pan profesor chodzi cały dzień z owiązaną głową i wcale nie wygląda na profesora.

sora. Słyszałem, że już telegrafował o przysłanie nowej peruki.

Mój Boże, chłopcy mają dzisiaj rekreację i zupełnie zapomnieli o mnie, a ja siedzę w pokoju na górze zamknięty o chlebie z syropem, a to już wstrętna ostateczność.

4. KLEPTOMAN.

Nie wiem, jakbym wytrzymał w tym pokoju, gdyby nie to, że przypadkiem znalazłem w podłodze niewielki, zasłonięty blachą otwór. Z nudów zagiąłem szpilkę, przywiązałem do niej sznurek, który miałem w kieszeni i przez otwór znajdujący się wprost nad biurkiem pani Pitkins, zaczęłem łowić ryby. Połów był bardzo obfity, ale moje ryby śmiesznie wyglądały, bo były to tylko: dwie bransoletki, koronkowe pokrycie z poduszcзки do szpilek, kilka loczków, siedem szpilek rogowych, buteleczka wody kołońskiej, przewiązana niebieską wstążeczką, o którą się mój haczyk sam zaczepił, i kilka innych przedmiotów.

Jak tylko zejść nadół, muszę napisać do mamy, czego się już z różnych przedmiotów

nauczyłem. Ona zrozumie moją tęsknotę za domem i przysze mi tort owocowy, chociaż wobec moich postępów w czytaniu, a przede wszystkim wobec mojej grzeczności mogłaby mi dodać jeszcze torcik kremowy.

Ile to szkodliwych wiadomości mogą się dzieci nauczyć w szkole! Arturek Braun pokazał mi, jak się rzuca papierowe kulki, aby nauczyciel nie spostrzegł, skąd spadają, Willy Wilson nauczył mnie, kiedy po położeniu się spać, trzeba wstawać, aby jeszcze trochę podkazywać, jak się kładzie ściągaczki do książki, aby nie potrzeba było uczyć się bardzo tych nudnych lekcji i wiele innych rzeczy,

Rachunki pamięciowe ogromnie mnie męczą. Wolę je pisać na tablicy, bo wtedy można rysować sobie pana profesora lub panią profesorową, chociaż ona gniewa się o to i zaraz skazuje na karę. Ja sam stałem raz w śmiesznej czapce na środku klasy.

Zdaje mi się, że od czasu wypadku z peruką oboje państwo Pitkins coś sobie do mnie upatrzyli i zawsze, jak się tylko co stanie, napadają na mnie.

Przecież to nie ja rozlałem atrament w klasie, — ja tylko przywiązałem kałamarz do ogona

kota, a że głupi kot poplamiał podłogę atramentem, to już nie moja wina,

Profesor powiedział, że jeśli się jeszcze raz coś podobnego zdarzy, to mnie w nauce zawiesi. O jakąż okropna mnie przyszłość czekał! Myślałem dotąd, że tylko najstraszniejszych rozbójników wieszają, a tymczasem taki sam los imnie, małemu chłopcu, który przecież zawsze stara się być grzecznym, grozić może.

Panna Heren, nasza nauczycielka, powiedziała mi, że to nie znaczy, iż mnie powieszają naprawdę, lecz tylko odeszłą do domu. O, jak to dobrze! Ale ona powiedziała mi również że mama i siostry bardzo się tem zmartwią i że to byłby wielki wstyd dla nich. Nie rozumiem wcale! Jakiż to wstyd powitać maleńkiego brata?

Pani Pitkins ogromnie się boi rozbójników. Podobno w noc budzi profesora i krzyczy, że złodzieje plondrują po domu.

Pewnego razu naprawdę zakradł się rozbójnik i wsunął się pod łóżko pani, kiedy ta dopiero co zasnęła. Nagle budzi się i szepcze:

— Mężu, mężu, wstań! Pod moim łóżkiem siedzi rozbójnik.

— Cicho, śpij, nikogo niema, — odrzekł pan profesor,

— Ależ wstań! jest naprawdę! Czuję, że materac podnosi. Mówię ci, wstań! Zapal świecę! Ratunku! Mordercy!

Pan Pitkins mruknął coś niezbyt pochlebnego, ale że w tej chwili rozbójnik poruszył plecami i jego materac, porwał się na nogi naprawdę wystraszony.

I ona również chciała zeskoczyć z łóżka, ale tchu jej zabrakło, więc upadła na wznak i tylko krzyczała, że ją mordują, zabijają, że rozbójnik trzyma ją za gardło.

Wtedy pan Pitkins wybiegł do sieni i zawołał na pomoc Johna Bensa i kilku starszych chłopców. Ci zapalili światło i zaczęli szukać pod łózkami, ale nikogo nie znaleźli, bo w ciemności wymknąłem się na górę i zanim wrócili spałem już, jak zabity. Teraz wszystko cicho, tylko pani Pitkins ze strachu przed złodziejami oddała swoją broszkę i spinki męża na przechowanie:

Ach, wyobraź sobie, dzienniczku drogi, co się ze mnie zrobiło, — jestem kleptomanem! To znaczy, że jestem takim chłopcem, który nie

może powstrzymać się, aby nie przwłaszczyć sobie cudzej własności.

Dzisiaj rewidowano nasze kuterki. Okropność, czego w moim nie było! Lornetka pani Pitkins, perfumy, koronkowe mankiety, trzy poduszeczki do szpilek, sześć chusteczek, rękawiczka, torebka ręczna, portmonetka z pięćdziesięcioma centami, związana paczka, którą pani niedawno przyniosła, para nowych kamaszy i wreszcie srebrny zegarek pana Pitkinsa i jego nowa peruka, która kosztowała podobno 50 dolarów, a którą zostawił na chwilę na biurku żony

Wtedy to powiedzieli, że jestem kleptomatem, ale chciałbym wiedzieć, czy znajdzie się na świecie chłopiec, który powstrzymałby się od łowienia ryb, mając przy sobie sznurek, zakrzywioną szpilkę i żadnego świadka w pobliżu.

Co piątek pan i pani Pitkins ubierają się strojnie, gdyż z miasta przychodzą goście, i wszyscy uczniowie urządzają rodzaj popisu. Ostatnim razem pani Pitkins napisała mowę, którą ja miałem czytać przed gośćmi. Była to prześliczna mowa, która brzmiała mniej więcej, jak następuje:

„Rodzice, którzy mogą umieścić dzieci swoje w dobrej szkole, powinni być bardzo wdzięczni Opatrzności. Biedne dzieci z ulicy napróżno wzdychają do tego szczęścia. Dla nich ono leży, niestety, w krainie marzeń. Powinniśmy to odczuwać sercem, póki serca nasze są jeszcze młode i wrażliwe. Narodowość nasza wzniosła się ponad inne tylko dzięki wzorowym szkołom początkowym“.

To napisała pani Pitkins, ale ponieważ nie trafiło mi to do przekonania, zmieniłem więc cokolwiek tekst, stosownie do swoich przekonań i na znak pani Pitkins przeczytałem głośno i dobitnie:

Szkoła jest okropna, żal mi rodziców, którzy zmuszeni są posyłać swoich malców do szkoły. Biedne dzieci, które nie znają szkoły, są o wiele szczęśliwsze od nas, przynajmniej od rana do wieczora mogą grać w klipę lub palanta. Wolałbym być stokroć chłopcem ulicznym. A najgorszymi ze wszystkich są pensjonaty. Masło i konfitury dają tylko raz na tydzień, a sześć razy kaszę owsianą. Za najmniejszy drobiazg stawiają do kąta. Gdybym był dużym i gdybym miał szkołę byłbym dla ma-

łych chłopców o wiele lepszym niż pan i pani Pitkins.

Zdaje mi się że moje wypracowanie podobalo się ogólnie, bo goście śmieli się do rozpuku, a pan i pani profesorowa uśmiechali się tak, jakby się kwaśnych jabłek najedli.

Po obiedzie wziąłem łyżwy, aby pójść z innymi na ślizgawkę, ale pani Pitkins pochwyciła mnie za ramię i rzekła słodziutko: „Nie potrzebnie się wybierasz, Jerzyku, Zdrowiej ci będzie, jeżeli posiedzisz sobie w szkolnym pokoju i napiszesz dodawanie. Umiesz pisać takie śliczne ćwiczenia, to może zechcesz się wprawiać i w dodawanie. Taki szkaradny malec, jak ty popsuje mi wszystkich chłopców

Z tymi słowami zaprowadziła mnie do szkolnego pokoju, wepchnęła do środka i drzwi zamknęła na klucz, A ja się cały tydzień cieszyłem na ten piątek! Ach, mamó, gdybyś ty wiedziała, jak mi źle tutaj, jak ja tęsknię za domem, za Betty pocziwą, która mi zawsze kawał pasztetu schować musiała. Przy każdej liczbie, którą miałem dodać, łzy zalewały mi oczy, tak, że nie potrzebowałem moczyć gąbki. Palce mi tak podreptwiały z zimna, że otworzy-

lem piec, aby zobaczyć, czy niema tam jeszcze ognia. Niestety był tylko jeden jedyny węgielek, ale kiedy położyłem na niego mój kajet arytmetyczny i linijkę, po chwili buchnął płomień. Zachęcony tem, rzuciłem do pieca wszystkie kajety i książki, jakie tylko w pokoju szkolnym znalazłem i chcąc rozgrzać piec, starałem się zamknąć drzwiczki. Niestety, zardzewiałe zawiasy pękły, drzwiczki upadły na ziemię i wszystek dym rzucił się na pokój. Zacząłem krzyczeć i bić nogami we drzwi, bo dym gryzł mnie w oczy i drapał w gardło i zdawało mi się, że się chyba zaduszę.

Pani Pitkins nie mogła mnie usłyszeć, bo poszła do miasta i klucz zabrała z sobą, ale usłyszała mnie moja dobra panna Hawen i kazała mi otworzyć lufcik i wysunąć głowę na powietrze, zanim ona przwśle kogoś, ktoby mi drzwi otworzył.

Okna jednak były zamrożone i w żaden sposób lufcika otworzyć nie mogłem. Wtedy panna Hawen krzyknęła: „Wybij szybę, Jerzyku. Przecież nie możesz się zadusić!“

Odrazu zrobiło mi się lepiej. W jednej chwili we wszystkich pięciu oknach klasy nie zostało ani jednej całej szyby i świeże powie-

trze całą masą zaczęło wpadać do pokoju. Profesor aż pobladł ze złości, kiedy zobaczył to zniszczenie.

— Pocoś wybijał wszystkie szyby, ty nieznośny gluptasie, — rzekł do mnie. — Tygodnia mało na przyprowadzenie wszystkiego do porządku, ale to nic, pošlę rachunek twojemu ojcu.

— Adonijabie, — zauważyła słodko pani Pitkins, — czy nie byłoby lepiej odesłać i tego smarkacza razem z rachunkiem. Przecież on gorszy od wszystkich plag egipskich razem wziętych, bardzo żałuję, że nie pozwoliłam mu iść na ślizgawkę, możeby utonął w przeręblu.

Zdaje się, że wszystkim na świecie zawadzam. Moi przysłali mnie tutaj, a teraz pani Pitkins pragnie, abym umarł. Ale ja wiem, jak mam wszystkim dogodzić. Dzisiaj jeszcze podam ogłoszenie do gazet takiej treści: „Młody, ładny chłopczyk zgodzi się, aby go przyjęto za syna w jakim przyzwoitym domu, chodzi mu więcej o obojętne, niż o wynagrodzenie”. Jestem pewien, że znajdą się amatorowie, bo przecież nie wszyscy wiedzą, że jestem takim nieznośnym urwisem.

3. WYDALONY ZE SZKOŁY.

Wczoraj profesor sam osobiście odprowadził mnie na pociąg, usadowił w wagonie i rzekł do konduktora:

— Niech pan dobrze uważa na tego bębna. Jest to nieznośny ch'opak, musiałem go wydalic ze szkoły.

Konduktor kiwnął głową i kiedy przyszedł przedziurawic mi bilet, uśmiechnął się i rzekł:

— Cóżes tam zbroił takiego, że aż cię musieli wvdalić? Minę masz tak niewinną, jak baranek.

— O, panie konduktorze, — odrzekłem. — jestem podobno najnieznośniejszym chłopcem na całym świecie i narobiłem panu Pitkinsowi wiele przykrości, szczególniej temi perukami; ale to wszystko były tylko nieprzewidziane wypadki, gdyż nigdy nic jeszcze nie zrobiłem umyślnie. A ostatnia historja, to była kroplą przepelniającą naczynie pani Pitkins.

— Dobrze, — uśmiechnął się konduktor. — Wróce zaraz do ciebie, to mi opowiesz, co to się takiego stało

— Czy pan uwierzy, panie konduktorze,— rzekłem, kiedy wrócił i usiadł obok mnie, — aby można było wydalic ze szkoły małego, dobrego chłopczyka za to tylko, że porwał kucharce kawałek ciasta?

— No, nie,—to może trochę za surowo,— mruknął konduktor.

— Widzi pan! A oni tak ze mną zrobili!— zawolałem.—Wziąłem taki maleńki kawałeczek, najwyżej, jak moje dwie pięści, i zaniósłem sobie na górę, bo profesor miał w mieście odczyt i pani Pitkins była w domu sama. Tam oblepiłem sobie twarz ciastem, zrobiłem dwa malutkie otworki na oczy i jeden na usta, okryłem się prześcieradłem i usiadłem sobie najspokojniej na fotelu w gabinecie pani Pitkins. W pokoju było ciemno i kiedy pani weszła z lampą, światło jej padło prosto na ducha. Pani Pitkins zaczęła krzyczeć i uciekła i to byłoby najmniejsze, ale ta nierozsądna kobieta rzuciła przedewszystkiem lampę, od czego utworzyła się wielka plama na dywanie i suknia się na niej zatliła, Byłaby się może spaliła, gdyby nie to, że na jej krzyk przybiegł Jack i zarzucił na nią własne swoje palto. W każdym razie suknia przepadła i pani Pitkins dostała z prze-

rażenia jakiegoś ataku nerwowego, który jednak nie przeszkodził jej powiedzieć mi, że nawet za 10,000 dolarów nie chciałaby mnie trzymać. Żal mi się jej zrobiło i chciałem jej oddać moją złotą pięciodolarówkę, ale ona nie wzięła i powiedziała, że dołączy i tę stratę do rachunku, jaki pośle tatusiowi. Aż mnie dreszcze przechodzą na to, co tatuś powie na ten rachunek. Panie konduktorze,—dodałem prosząco,—może pan potrzebuje chłopczyka w moim wieku do sprzedawania gazet lub ciastek w pociągu? Mój tatuś tyle już stracił przezemnie, że czas już, abym sam na siebie zaczął zarabiać.

Konduktor odpowiedział, że do takiego interesu potrzebni są chłopcy starsi odemnie, potem dał mi gazetę z obrazkami i kazał siedzieć spokojnie na miejscu. Podziękowałem mu bardzo grzecznie. Po chwili wszedł do naszego wagonu chłopiec z cukierkami. Kupiłem cztery paczki i dałem mu dolara, a kiedy przeszedł do innego wagonu, postanowiłem i ja spróbować handlu. Wszedłem więc na korytarz i we wszystkich przedziałach zapraszałem do kupna cukierków. Ale pasażerowie śmieli się tylko i nikt nic kupić nie chciał, postanowiłem więc

spróbować w innym wagonie i wyszedłem na platformę.

Co to się stało i jak to było, — nie wiem. pamiętam tylko, że gramoliłem się z kupy śniegu i że w uszach, w nosie i w ustach miałem pełno takiego samego śniegu, a pociąg oddalał się coraz bardziej i ja byłem sam jeden na śnieżnej równinie. Ponieważ w kieszeni miałem ciastko, a w rękę paczkę cukierków, przeto postanowiłem, że skoro mam umrzeć z głodu, to muszę sobie ostatnie chwile jakoś osłodzić i zacząłem pałaszować w najlepsze. Wtem patrzę, a tu pociąg jak raz sunie ku mnie zadem, okna wszystkie pootwierane i wszyscy pasażerowie powysadzali głowy. Konduktor, błydy jak śmierć, wyskoczył pierwszy, ale kiedy zobaczył, że jadą cukierki, wpadł w okropny gniew i zaczął krzyczeć, że jestem nieznośnym i nieposłusznym chłopcem, któremu wartoby dać różgą. Potem wepchnął mnie do wagonu mrużąc, że przezemnie stracił 10 minut.

Bardzo mi było nieprzyjemnie, że wszystkie panie płakały i oglądały każdą moją kosteczkę, czy się przypadkiem nie potłukła. Narazie musiałem porzucić myśl o handlu, ale postanowiłem poszukać sobie później jakiegoś

zajęcia, aby koniecznie zapracować na chleb dla siebie

Naprawdę, nie mogłem się przecież przyznać konduktorowi, dlaczego mnie wydalono ze szkoły, bo mógłby pomyśleć, że ja to wszystko robiłem umyślnie, lub że jestem bardzo złym chłopcem, bo tylko zły chłopiec mógł przysłać pani Pitkins na imieniny taki bilet:

„Ładnie pachnie fijołek i różyczka piękna,
Ale za to pani jest jak ocet kwaśna“.

Ale to jeszcze mniejsza! O wiele gorszym było to, że ktoś przyczepił do haczyka kawał mięsa i nakarmił nim angorskiego kota pani, a potem wyłowil z akwarjum wszystkie złote rybki. W każdym razie pani i toby zniosła, lecz w niedzielę tenże sam chłopiec wpadł w przerębel, skąd go ledwie żywego wydostano. To już było zawiele dla pani, temwięcej, że ten urwis na drugi dzień wymazał sobie twarz atramentem, wziął kuchenną szczotkę i chciał wleźć w komin, jak kominiarz. Ale i to byłaby mu wybaczyła, a może i zapomniała, gdyby ten nieznośny chłopak nie był powycinał wszystkich obrazków ze słownika, na którym siedział i nie poprzyklepiał ich nad swoim łóżkiem, gdyby nie

stłukł i nie połamał złotych okularów profesora, kiedy je pospiesznie na swój mały nosek nakładał, gdyby nie nauczył się kaszlać, jak pan profesor i gdyby nie ubrał pinczera w nocny kaftanik pani profesorowej, który ten głupi ples wyniósł aż do sąsiedniego domu.

Kiedy konduktor zajrzał znowu do mnie udobruchał się już zupełnie, po czem poznałem, że jest to bardzo porządny człowiek i nabrałem do niego zaufania.

— Panie konduktorze, — rzekłem też do niego, — jeżeli w domu nie będą zadowoleni z mojego powrotu, to przyjdę do pana.

— Bardzo chętnie, — uśmiechnął się konduktor, — ale nie będzie ci u mnie dobrze, bo jestem starym kawalerem.

— To nic, — odrzekłem, — pan się może jeszcze ożenić. Poznam pana z moimi siostrami. Obie są wprawdzie zaręczone, ale to nic nie szkodzi.

Nareszcie pociąg stanął na naszej stacji, Konduktor stanął na stopniach wagonu, aby mi pomóc wysiąść, a tam dalej stała Zuzia, taka śliczna w nowej sukni, a obok niej Betty również milutka.

— Panie konduktorze, proszę, niech pan spojrzy, jakie moje siostry ładne, — zawołałem. — Niech pan koniecznie do nas przyjdzie. A tymczasem dziękuję panu za wszystko i dowidzenia.

— Dowidzenia, Jerzyku, — odrzekł konduktor, a i inni pasażerowie wyciągali do mnie ręce i wołali: „Dowidzenia, dowidzenia, Jerzyku Hakett!“

Betty była również na stacji i śmiała się i płakała z radości, jakby się jej wszystkie klepki pomięszaly.

W domu czekał na mnie pieczony indyk, ostrygi, doskonała szynka, ciastka i mnóstwo nnych dobrych rzeczy. Wszyscy byli mi bardzo radzi, tylko tatuś miał bardzo poważną minę, kiedy czytał rachunek pana profesora i mama aż się za głowę złapała, kiedy opowiadałem o moim wypadku z pociągiem.

Po obiedzie tatuś powiedział do mnie: „Jerzyku, mam nadzieję, że teraz zaczniesz się inaczej sprawować. Czasby już było zaprzestać dawniejszych figlów. Powinieneś zawsze dwa razy pomyśleć, zanim coś wykonasz“

Postanowiłem tak robić i zaraz na złe mi to wyszło, bo w tej chwili drzwi przycięły ogon

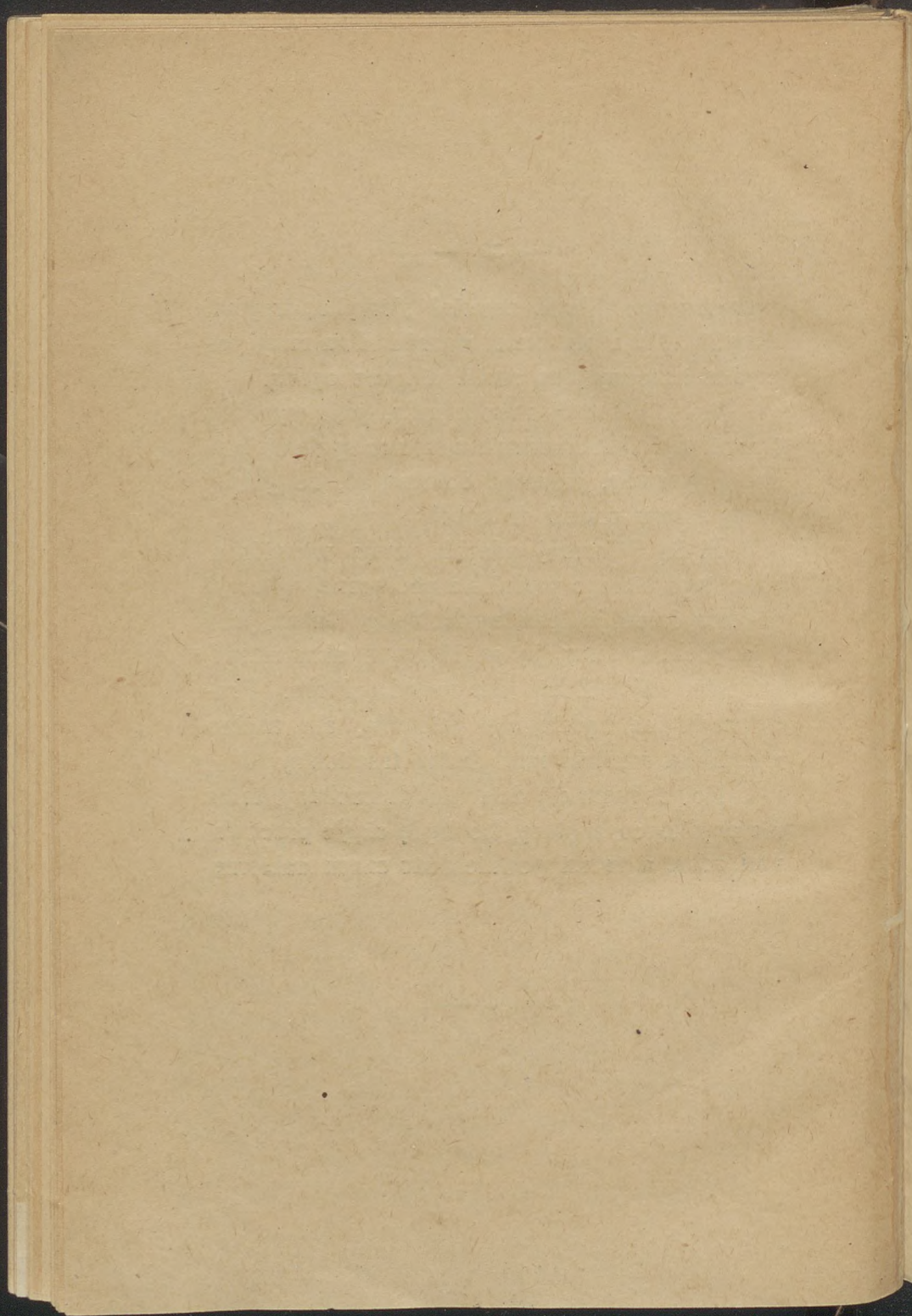
naszemu psu. Tatuś zawołał „Jerzyku, trzymaj drzwil“ ale ja chciałem wprzód dwa razy pomyśleć i biedny pies został się bez ogona.

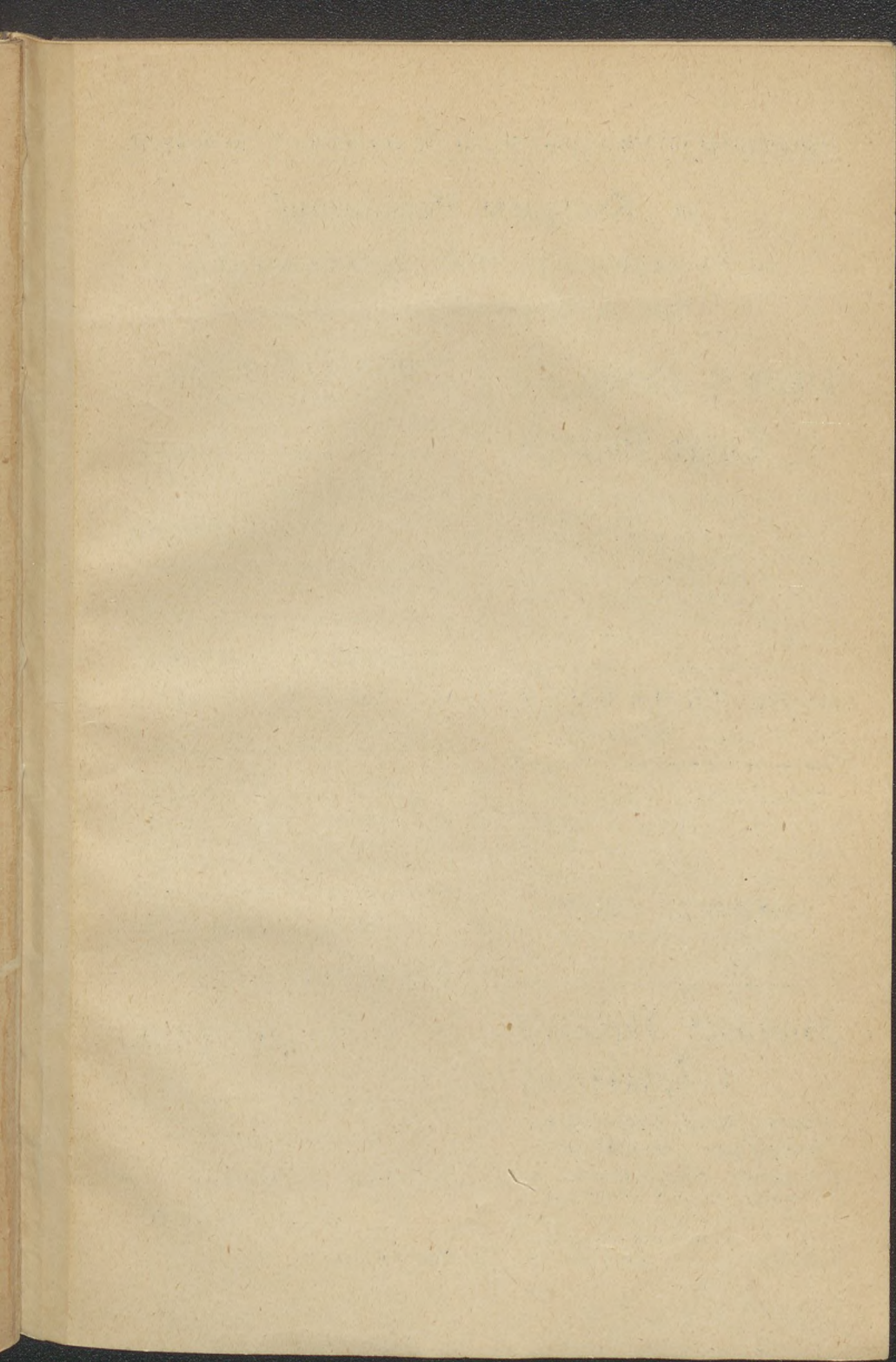
Ach, jaki mój pokoik mily, jaki wygodny i zaciszny! Jak smacznie całą noc spałem! Muszę, naprawdę, przestać dokazywać, bo gotowi mnie znowu posłać do szkoły

P. S. Wczoraj zdechła moja wiewiórka, choć tego białego proszku z podręcznej apteczki doktora dałem jej ledwie odrobinę. Dzisiaj John i ja pochowaliśmy ją w ślicznym aksamitnym pudełku, które Zuzia dostała od doktora. Prawdopodobnie będzie się gniewała, ale trudno wiewiórka musiała mieć ładną trumienkę.

No, żegnam cię dzienniczku kochany, teraz nie prędko co zapiszę, bo będę ciągle pracował nad sobą, a to mi pewnie dużo czasu zabierze.







5. MAJ. 1931

Nadzwyczaj interesujące książki dla wszystkich, do nabycia

w „Księgarni Popularnej“
w Warszawie, Ś-to Krzyska 42,
oraz we wszystkich księgarniach.

Szósta i siódma —

— Księga Mojżesza,

czyli magiczno-sympatyczny skarbiec, to jest Mojżesza magiczne sztuki czarodziejskie, tajemnice wszelkich tajemnic. Tablice szczęścia. Przepowiednie. Dostownie według starego rękopisu, z zadziwiającymi obrazkami, z 7-a pieczęciami. Cena Rb. 5—

Książka ROMANUSA

Cena 80 kop. **MAGNUSA.**

ANIELSKA POMOC.

na obronę i ochronę w wielkiej biedzie. Cena 50 kop.

TAJEMNICZA SZKOŁA

magicznego cudotwórstwa.
Cena 50 kop.

**Najnowsze Tajemnice
i Zagadnienia**

**Czarnej magji, Hypnotyzmu,
Spirytyzmu i Magnetyzmu.**

oraz zasady praktycznego ich zastosowania, ułożone według najnowszych i najlepszych źródeł, przez I. K. R. z licznymi rysunkami w tekście. Cena Rb. 2.—

OGNISTY SMOK.

Z drzeworytami

Cena Rb. 2.—

**SIEDEM RAZY
OPIECZĘTOWANA**

Kięga największych tajemnic

Cena Rb. 2.—

KOLEKCJA FLOVERA

4 tomy w opr. ozdobnej.

Cena Rb 10.—

ALBERTUS MAGNUS.

Wypróbowane i uznane sympatyczne i naturalne, Egipskie tajemnice z 7-a pieczęciami. Cena Rb 3

M. Rościszewski.

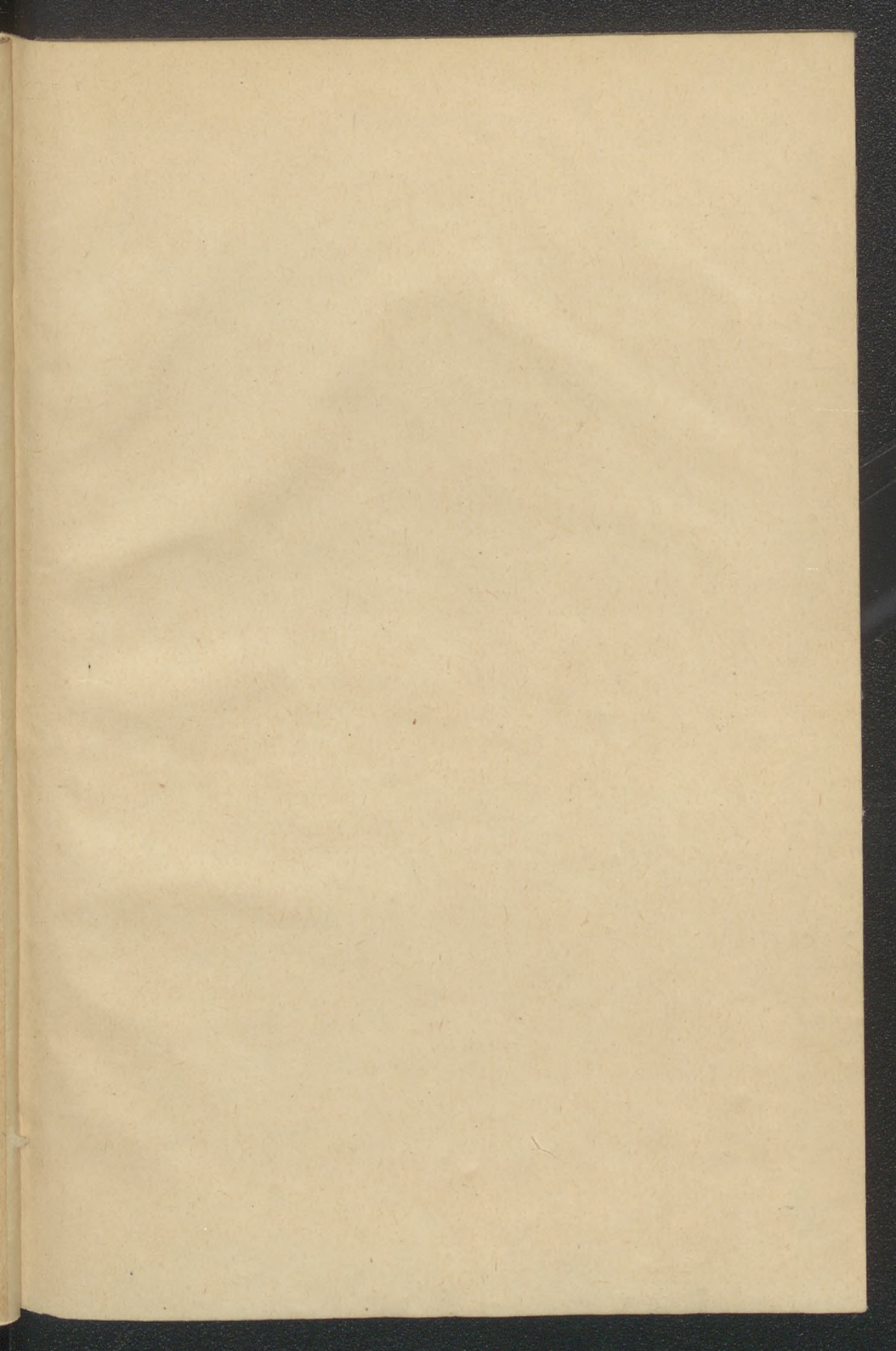
**Elektryczność
i Magnetyzm.**

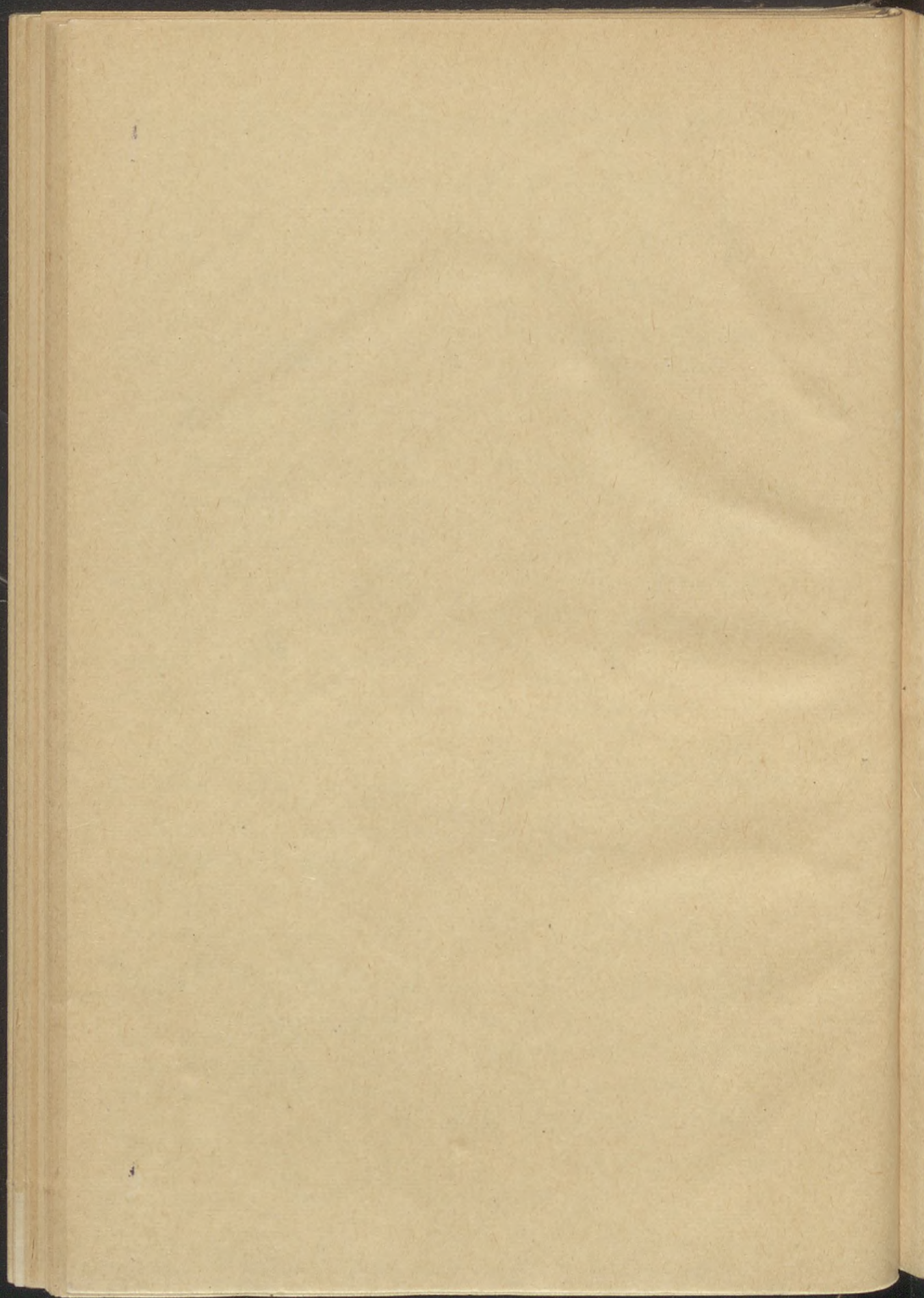
Cena 30 kop.

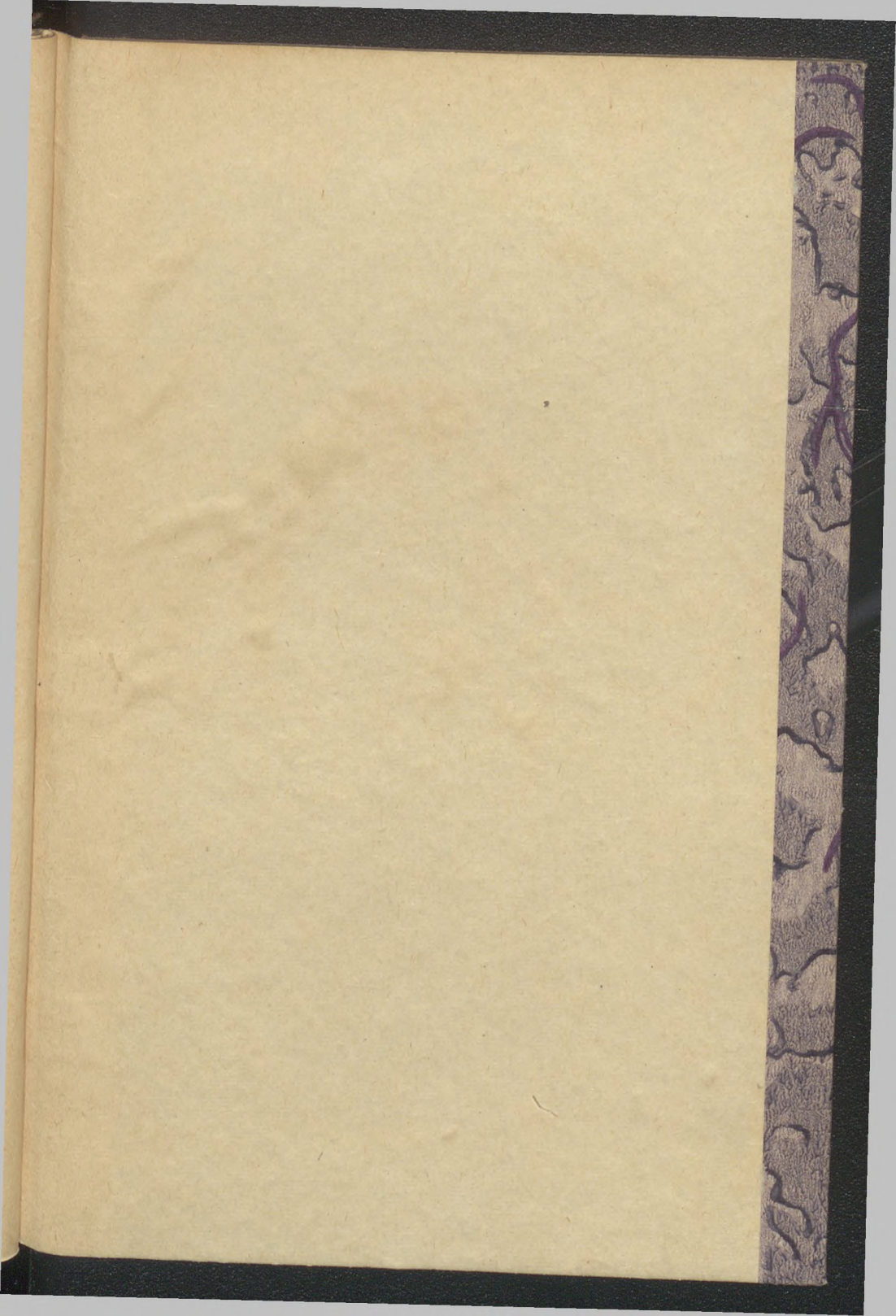
M. Rościszewski.

**Sztuka robienia
wynałazków.**

Cena 40 kop.









408069

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005413200